

Kamena

NR 9 (881)

3 maja 1987

Cena 20 zł

str. 2

Stanisław Ryszard Stande

Dziś jeszcze słów potrzeba — dlatego je wam daję
ale wybieram ciężkie twarde:

można wziąć do ręki
można z nich drzewce wystrugać dla standardu
można z nich wypruć czerwone wstęgi

można nimi w czas głodówki ukradkiem się karmić
można jak na p-duszkę na nie złożyć głowę
mogą być jak rozkazy niechybne dla armii:
w drogę!

Dziś jeszcze słów potrzeba — dlatego je wam daję
ale czekam dnia kiedy zmilknę usta zacisnę
kiedy mi kazeć gnać po kraju
palcami lepić ojczyznę

w rekrucki szynel zapięty będę stał na warcie
lub z rąk wroga wydzieral jakiś ziemi szmat
(ten rym mnie przesładuje uparcie:
padł)

a gdy wszędzie zatknijemy zwycięskie sztandary
wrócimy z dalekich rozstajów i dróg —
czy starczy mi sił by żagwiami słów
wznieść nowe pożary
sere i głów?

(1928 r.)



„Wieczny” doktor prosi o czas!

Wiesław Horabik

UNIWERSYTETY, podobnie jak Kościoły, należą do tych wytworów ludzkiej cywilizacji, które, mimo zachowanych od wieków struktur i zasad funkcjonowania, tkwią bez większych porażek w zmieniających się nieustannie warunkach. Obie te instytucje potrafiły bowiem wypracować sobie pewne szczególne mechanizmy adaptacyjne. Zdumiewającą przy tym rzeczą jest fakt, iż przemiany dokonują się tu (może ze względu na formalną hierarchizację) niezmiernie rzadko w wyniku parcia „od dołu”; najczęściej reformy inicjowane są nakazami „z góry”. Jak dotąd, zawsze znajdował się przy tym stosowny odnowiciel w odpowiedniej chwili.

Narzekania na stan polskiej nauki przybierały ostatnio coraz ostrzejsze tony. Nie bez przyczyny. Żyjemy wszak w dobie wzmożonej walki o technologię; w okresie, gdy o gospodarce, ekonomii, a co za tym idzie: o warunkach życia decydują w większym niż kiedykolwiek stopniu dokonania nauki. Procesy rozwojowe cywilizacji nabrały takiego tempa, iż zostający w tyle przestają się liczyć, popadają w wielostronne zależności, skazują się sami na przegrana. Ruch w światowej nauce widoczny jest nie tylko dla specjalistów, ale także dla każdego, przeciętnego czytelnika codziennej prasy. Wiadomości o twórczych dokonaniach, napływające ze Wschodu i z Zachodu, uwidaczniają pozycję naszej rodzimej nauki jako nieomal Kopiczka, realizującego swój życiowy sukces skokami i w zależności od przypadku, tj. autentycznie wybitnej indywidualności bądź nagłego spłotu szczęśliwej koniunktury. Wołania zatem o swoisty, naukowy II Sobór Polski znajdują pełne uzasadnienie.

Pierwsze działania reformatorskie skierowane były wszakże w zupełnie chybionym kierunku, nie sięgały do korzeni. Na kiepski stan naszej oświaty wyższej zwrócić bowiem najpierw społeczną uwagę pojęcia „wiecznego” studenta i studenta przeciętnego (co nie oznacza, że właściwi zainteresowani nie wiedzieli gdzie naprawdę „jest pies pogrzebany”). Początkowo wiązano fakt krótko skrojonych młodzieźowych ambicji z ogólnospołecznym kryzysowym marazmem i niemocą. Odsuwano przy tym na plan dalszy prosta w istocie konkluzję, że

to same uczelnie stworzyły odpowiednie warunki dla „średniaków”, stały się swoistą przechowalnią przeciętności. Klimat panujący w poszczególnych zakładach, instytutach, na wydziałach wcale nie sprzyjał rozwojowi twórczych inicjatyw, rozbudowaniu ciągów odkrywczych. Średnia kadra naukowa — asystenci i adiunkci — w największym stopniu odpowiedzialna za promocję młodych naukowych nadziei, rozrosła się niekontrolowanie, ulegając przy tym gwałtownemu zastarzeniu. (Na niektórych wydziałach proporcje pracowników nauki i studentów wynoszą dziś 1:10). Nie mobilizowana w żaden sposób do podnoszenia własnych kwalifikacji, kadra ta przenosiła błogie zasiadanie na owe rzesze przyszłych, młodych adeptów nauki. Co gorsza, przyczyna tego stanu rzeczy ukrywała się w istocie jeszcze wyżej. Ryba psuje się wszak od głowy. „Kontrola kadry naukowej jest obowiązkiem profesury i to obowiązkiem społecznym” — usłyszałem.

No, właśnie. Jak owa profesorska odpowiedzialność realizowała się, i realizuje w wielu przypadkach nadal, w praktyce? Jest publiczną tajemnicą, że znakomita większość najwyższej hierarchii naukowej wcale nie jest zainteresowana windowaniem w górę zbyt uzdolnionych i przedsiębiorczych podwładnych. Odpowiadają jej raczej ludzie przeciętni, często pracujący anonimowo na szefowskie dokonania, ulegli, nie stanowiący żadnego potencjalnego zagrożenia dla z takim niejednokrotnie trudem zdobytej pozycji „pana i władcy”. Jedną z przyczyn takiego stanowiska jest, podobnie jak we wszystkich środowiskach twórczych, mała stosunkowo zdolność ludzi nauki do uczciwej samooceny, do korygowania własnych błędów. W zakładach niewielkich, wyposażonych w szczupłą kadrę dydaktyczną, jak choćby zachodnie filologie, powierzano ponadto opiekę nad asystentami ludzimi, którzy sami nie posiadali jeszcze habilitacji, nie byli zatem w stanie sponsorować przewodów doktorskich. Zwodzili oni powierzonych sobie aspirantów rychłą wizją własnego usamodzielnienia się naukowego, paraliżując w ten sposób ich pragnienie szybkiego startu zawodowego. Prawdzi-

Dokończenie na str. 8

Z HISTORII NAJNOWSZEJ

Złoto i srebro FON

Mirosław Derecki

W KOLUMNIE samochodowej wywożonej z Warszawy wieczorem 5 września 1939 r. ostatnią partię złota Banku Polskiego (około dwudziestu ton) znajdowały się także dwie ciężarówki wypełnione kilkudziesięcioma skrzyniami i workami zawierającymi złoto i srebrne przedmioty, monety, waluty obce i papiery wartościowe. Była to większość tzw. „skarbow FON” — Funduszu Obrony Narodowej. Ciężarówek

strzegło kilku żandarmów, a na czele tego niewielkiego transportu stał pułkownik Groszek. Miał on doprowadzić ciężarówkę do Lublina i tam złożyć czarny ładunek w skarbcu miejscowego oddziału Banku Polskiego.

„Skarby FON” miały przebyć drogę przez wiele krajów świata, równie najeźrzą niebezpieczeństwami i obfitującą w niezwykłe przygody, jak koleje złota Banku Polskiego, które wędrowały przez Rumunię, Turcję, Liban, Morze Śródziemne, Francję i Ocean Atlantycki, aby wreszcie, w końcu czerwca 1940 r., spocząć na kilka lat na Saharze w Afryce. Tyle, że drogi „skarbow” wiodły nieco innymi trasami i inni ludzie byli zaangażowani w ich ratowanie. W końcu jednak zarówno złoto Banku Polskiego, jak i złoto ze „skarbcza FON” spoczęły obok siebie, w tych samych pomieszczeniach odciętego od świata ma-

leńskiego francuskiego fortu, kilkaset kilometrów od Dakaru...

O ile dzieje wędrowki złota Banku Polskiego zostały ostatnio przypomniane dzięki wejściu na ekrany filmu Bohdana Poręby „Złoty pociąg” i wynikłym stąd różnym publikacjom prasowym (m.in. w „Sztandarze Ludu” z 1 IV oraz 8 IV 1987 r. dwudziestokilowy artykuł — zresztą zawierający parę błędów — Zygmunta Zimonia „Dokąd jechał „Złoty pociąg?”), to na temat niezwykłych wędrowek „skarbow FON” polski czytelnik nie wie prawie nic. A jest to również historia nadająca się na film lub sensacyjny serial telewizyjny.

Utworzony na mocy dekretu prezydenta Rzeczypospolitej — z dnia 9 kwietnia 1936 r. — Fundusz Obrony Narodowej był funduszem specjalnym w wysokości jednego miliarda złotych, przeznaczonym na realizację wojkowego programu inwestycyjnego. Na cele obronności kraju na rozbudowę

Dokończenie na str. 9

Na wschód od Bugu

„SOWIETSKAJA KULTURA” opublikowała ostatnio wywiad z prof. Jurijem Afanasiewym — rektorem Państwowego Instytutu Archiwalno-Historycznego. Tematem rozmowy były problemy tzw. białych plam w historii Związku Radzieckiego, wypaczania i niewłaściwego interpretowania faktów historycznych oraz szeroko rozumianej świadomości historycznej społeczeństwa Kraju Rad. Oto obszernie fragmenty tej rozmowy:

— Wśród zjawisk, które niepokoją dziś nasze społeczeństwo, jest bierność społeczna. Czy nie wydaje się wam dziwne, że z pytaniem w tej sprawie zwracamy się właśnie do was? Co mogą zrobić historycy, aby zmienić ten stan rzeczy?

— Aby to zmienić i aby przewyższyć inne niekorzystne tendencje, potrzebna jest nam prawda o społeczeństwie, w którym żyjemy. Przeszłość to nie jest jakiś tam wyodrębniony problem, czy też jeden z problemów. Bez niej niemożliwa byłaby nasza świadomość, niezrozumiała stałaby się cała sfera naszych współczesnych zamysłów, obaw, nadziei i planów. [...] W tym momencie, w którym żyjemy, w kontekście zadań rozwiązywanych przez społeczeństwo — szczególnie istotne jest gruntowne poznanie dwóch ważnych okresów w naszej historii: lat 1917—1929 — tzn. „czasów Lenina i po Leninie” — oraz lat 1956—1965 — tzn. okresu „po Stalinie, XX Zjazd KPZR i próby reform”. Dziś trzeba uważnie przyjrzeć się wszystkim sukcesom i porażkom w tych najbardziej dynamicznych i pełnych sprzeczności okresach.

Pomówmy bardziej konkretnie. Postawmy pytanie: czy dostatecznie orientujemy się już w walce idei i planów społecznych, czy też „modeli” socjalizmu, proponowanych za czasów Lenina i po jego śmierci? Myślę, że należy niejako od nowa przeczytać — ale konkretnie — oraz zakończyć ponowne wydawanie wszystkich materiałów zjazdowych i konferencji partyjnych, a także zasądzić zmienić tryb pracy archiwów. [...]

Dalej. Stosunek różnych ludzi do Stalina nie jest jednoznaczny. Przy tym wszystkim jego referaty i artykuły w żadnym wypadku nie mogą wypadać ze sfery naszego zainteresowania i uwagi. Co więcej, jeśli okazałoby się to przydatne — należy je wydać ponownie. Do dziś np. telewizja pokazuje Stalina w aureoli mądrości i siły. Ale przecież młode pokolenie musi mieć możliwość porównania i wyrobienia sobie obiektywnego poglądu o tej postaci historycznej — chociażby kładąc przed sobą prace Stalina i Lenina oraz jego współtowarzyszy. Sprawa nie polega na tym, aby po prostu wracać do XX Zjazdu KPZR. Chodzi jedynie o to, aby osiągnąć nową jakość głębokiej analizy historycznej.

I jeszcze jedna uwaga — jeśli kontynuować ten wątek. W pokazanym ostatnio filmie telewizyjnym, zatytułowanym „Moi współcześni”, młody Gagarin — po powrocie na Ziemię z kosmosu — maszeruje po długim dywanie. Ciekawe, komu będzie składał swój raport i kto uściłnie jego rękę? Młodzi tego już nie wiedzą, a starzy wymieniają znaczące spojrzenia. Czyż rzeczywiście należało zostawiać poza kadrem filmowym Chruszczowa? Przecież jest to postać złożona i wcale nie jednoznaczna. Jej rolę w historii naszego powojennego społeczeństwa trzeba będzie dopiero zbadać i uściślić. Jak długo można postępować tak, jakby tej postaci w ogóle nie było? Gagarin nie może po prostu maszerować gdzieś tam w dal — z pustki w pustkę. Pamiętać należy wszystko. [...]

— [...] Rodzą się mity. Szczególnie dużo pojawiało się ich zwłaszcza w ostatnich latach. Gdzie tkwiła korzeń historycznej mitologii tak żywotnej w codziennej, społecznej świadomości społecznej — mitów takich jak ten, że „Mikołaj II nie był głupi”, „Kołczak to była osobowość” itp.? Jak one powstają?

— Być może to, co nazywacie mitami, w jakimś stopniu rzeczywiście jest swego rodzaju historyczną anegdotą, plotką, jakimś dalekim echem. Przygnębienie i troskę wywołują jednak nie owe „mity”, jako odpryski potocznej opinii, ale to, że funkcjonują one zamiast, czy też w miejsce opracowań historycznych, a nie na obrzeżach poważnych badań. Ludzi trzeba przygotować do myślenia w kategoriach szerszych i głębszych, a nie do zadowalania się anegdotami. Wtedy byłoby rzeczą jasną, że Mikołaj II był nie tylko zły, czy średnio wykształconym człowiekiem, ale także wiarołomnym, upartym i surowym, co podkreślali blisko znający go ludzie.

Podstawa, oparciem dla mitologizacji reakcyjnych postaci historycznych jest pewna tradycja, metoda działania, która czymś anachronicznym stała się już przed 50 laty. Najkrócej rzecz ujmując, polegała ona na tym, aby w sposób karykaturalny przedstawiać wspomniane wyżej postaci, co zupełnie nie odpowiada już współczesnemu poziomowi rozwoju kulturalnego obywateli Związku Radzieckiego. [...] W ten sposób zubożona została również historia rewolucji, która stała się bezosobowa i wciśnięta w socjologiczne schematy, które nikogo, a zwłaszcza młodych, nie są już w stanie emocjonować i poruszać. W życiu duchowym społeczeństwa zdeformowane zostały w ten sposób moralne układy odniesienia. Niektórzy zaczęli nawet otwarcie odchodzić od klasowego podejścia w ocenie faktów i poszczególnych postaci historycznych. Wszystko to w sposób wyraźny zachwiało stałością tradycji demokratycznych w naszej świadomości. Zaczęła nawet rodzić się ideologia — nawiasem mówiąc, przy aktywnym poparciu niektórych kręgów — zaplątana w pociąg do tzw. silnych jednostek. Jest to już niezwykle poważne zjawisko, które nasiliło się w latach siedemdziesiątych.

— Ukazuje się wiele interesujących książek o historii przedrewolucyjnej Rosji, ale nasi czytelnicy nie potrzebują na pewno wymienić ani jednej równie popularnej publikacji o historii okresu władzy radzieckiej. Czy nie uważacie, że historycy w jakimś stopniu utracili już wpływ na świadomość społeczną?

— Niestety, tak jest w istocie. Dość rzadko, ale ukazują się opracowania historyczne, które następnie stają się wydarzeniem społecznym i kulturalnym. W przypadku historii okresu radzieckiego jest to już czymś absolutnie unikalnym.

Historyk, aby mógł mówić w sposób problemowy, pełnowartościowy i rzeczowy o społeczeństwie, w którym żyjemy — musi mieć jeszcze

O realizmie prawdzie historycznej i jej wypaczaniu

do tego moralne prawo. A coś takiego można osiągnąć tylko w walce z tymi, którzy skazują historię jako naukę na pasywność społeczną, a także w walce z własnymi replikacjami wrzodami — inercyjnością i służalczością. Nie godzi się nam, historykom, sądzić o społeczeństwie, stojąc jakby z boku; występować przed nim raz w białym fartuchu, a raz w białym fraku. Jeśli ktoś pierwszy wymaga uzdrowienia, a nawet powinien okazać skruchę, odbyć pokutę, to przede wszystkim my sami. Tymczasem w naszym fachu przebudowa — mamy taką nadzieję — jest jeszcze przed nami. [...] Prawo do zajmowania się przemyśleniami i weryfikacją problemów teoretycznych wzięła na siebie grupa ludzi, piastujących zarazem liczne funkcje kierownicze. Dla przykładu, na początku lat siedemdziesiątych zorganizowano prawdziwy pogrom całego kierunku naukowego z jego poszukiwaniami w dziedzinie wielosektorowości przedrewolucyjnego społeczeństwa rosyjskiego. 15 lat później te same osoby nie wstydzily się powtórzyć dokładnie tego wszystkiego, co wcześniej poddane było anatemie, jako odstępstwo od marksizmu.

[...] Wielu moich kolegów leczenie społecznych cierpień, niemocy wyobraża sobie przede wszystkim jako oczyszczenie, uwolnienie się od biurokratycznych barier i przeszkód na drodze postępu samej nauki historycznej. Rzecz w tym, iż dokonuje się to z dużym trudem. Z dużym oporem przychodzi nawet samo przyznanie się do jakiegokolwiek błędów. Oto np. postawiono pod naszym adresem zarzut: „Utraciliście zdolność do krytycznej oceny własnego miejsca w nauce”. My zaś odpowiadamy na to: „To nie dotyczy nas, to na pewno historycy partii, a my — jesteśmy z nauki akademickiej.” I zaraz następuje zdanie przeciwnie: „Czas najwyższy, aby dokonać krytycznej analizy sytuacji”. „Nie można jednak dopuszczać — przestrzega akademik — sekretarz wydziału historii T. Tichwinskij — żeby pod hasłem przebudowy była oczerniana cała nasza nauka historyczna”. Nie można, ale w tym przypadku chodzi o coś zupełnie innego.

Konieczna jest tu szczerść i otwartość. Rozważcie sami: na okres 20 lat zablokowano rozwój myśli. Nie do końca oczywiście, bo myślenia nie można zatrzymać zupełnie. Ale mimo wszystko było to lata sztucznego hamowania rozwoju. Dziś stało się rzeczą modną wzdychać nad ogólną sytuacją narastającą w kraju z powodu beznaślności minionych lat. I o tym trzeba myśleć, przeciw były i konkretne adresy... Anonimowa krytyka nie jest najlepszym towarzyszem przebudowy. Byli i są konkretni ludzie, bezpośredni „twórcy” zastojów. Należy ich znać, tym bardziej, iż styl ich myślenia i działania jest stosowany również obecnie i w tym samym kierunku. Cała kampania zmierzająca do tego, aby położyć kres naukowym poszukiwaniom w historii na początku lat siedemdziesiątych — była kierowana przez S. Trapeznikowa, który dysponował nieograniczoną wszechwładzą w kierowaniu nauką i w obsadzeniu prawie wszystkich, zależnych od niego stanowisk kierowniczych — ludźmi ściśle z nim powiązanymi. Niektórzy z nich w dalszym ciągu sterują nauką historyczną i nie ustają w wezwaniach „do śmiałych poszukiwań i dyskusji”. Na posiedzeniu Wydziału Historii Akademii Nauk ZSRR 9 marca br. członek-korespondent P. Wolubujew nazwał po imieniu niektórych ze wspomnianych wyżej osób i ostro skrytykował stan nauk historycznych. Jego głos był jednak dość osamotniony. Z drugiej strony rozległy się jednak wezwania niektórych „administratorów”, aby nie ponaglać do przebudowy. Myślę, że w tej sferze polaryzacja stanowisk będzie się nasilać. Dojrze-

wa nowa epoka, a nie jakaś okresowa kampania.

— Konjunktura? Jakie szkody przyniosła ona nauce i tym wszystkim, którzy umieją czytać? Które z okresów historycznych wymagają dziś nowego i bardziej prawdziwego poznania?

— U nas nie ma dziś żadnych koniunkturalistów. Popatrzcie sami: jedni już wcześniej byli ludźmi myślącymi, podczas gdy inni nigdy nie umieli lub też odczytali się tego robili. Przez całe swoje życie łapali się „wskazówkami”, a dziś „wskazówka” jest samodzielnością. [...]

Wielu ludzi nie ma najmniejszej ochoty na to, aby się przedstawiać, ponieważ narusza to ich żywotne interesy. I dlatego też, jeśli tylko okaże się to możliwe — nie będą chcieli tego dokonać. Potrzebne są świeże siły.

Jakie natomiast okresy wymagają nowego i bardziej rzetelnego odczytania? Logika nauki nie uznaje istnienia problemów do końca poznanych i nie wymagających ponownej analizy. Jednakże w naszych warunkach, kiedy głównym zadaniem historyków jest to, aby doprowadzić do przebudowy i uczynić ów proces nieodwracalnym, są, moim zdaniem, problemy o szczególnym znaczeniu. Myślę np., iż najwyższy czas, abyśmy oparli

na bardziej rzeczowych podstawach badania problemów związanych z kultem jednostki Stalina. W tej ważnej dziedzinie nie mamy w gruncie rzeczy ani jednego poważnego opracowania, gdy tymczasem w historiografii niemarksistowskiej można wymienić setki i tysiące publikacji poświęconych temu tematowi. My nadal jednak ignorujemy je. [...] Wprost nie mieści się w głowie twierdzenie, jakoby masowe represje, skierowane przeciw uczciwym obywatelom radzieckim w latach trzydziestych mogły być przedstawiane wyłącznie jako „błędy” lub też „niedostatek” w „przestrzeganiu zasad socjalistycznej praworządności”, lub wreszcie — jako „nieuchronne koszty walki klasowej i rewolucyjnych przeobrażeń społecznych”. Znane decyzje partyjne charakteryzują te zjawiska nieco inaczej. Mówią one o „wypaczeniach”, „samowoli”, „bezprawiu”, „nadużyciach” w okresie kultu jednostki” lub też działaniach „przestępczej bandy Berii”. Pod takimi nazwami weszły też one do świadomości narodowej. Później, po 1956 r. żadnych danych wystarczających do tego, aby dokonać weryfikacji wspomnianych wyżej ocen — już nie przedstawiono. Nie przytoczył ich nawet W. Kasjanienko w swoim artykule „Powstanie socjalizmu w ZSRR i walka ideologiczna dwóch światów”. Partyjne decyzje i oceny obowiązują jednak nadal, a ich weryfikacja byłaby bezpodstawną — pod względem politycznym i moralnym.

— Dziś coraz częściej preferuje się bezpośrednie czytanie Marksa i Lenina — już bez pomocy interpretatorów. Dlaczego stał się on przeszkodą?

— Jest to czysto retoryczne pytanie. Tak właśnie powinno być. Należy czytać Marksa i Lenina, a nie podręczniki i przekazy z drugiej ręki. Jest rzeczą smutną, jeśli nasi studenci zaglądną do źródeł niezwykle rzadko i traktują je wyłącznie jako dodatek do konspektów.

Kiedy zostajemy sam na sam z Marksem czy z Leninem, stają się oni dla nas nie tylko nauczycielami, ale naszymi trwałymi współtowarzyszami. Czytając ich, trzeba myśleć, a wówczas problemy nie tylko że nie znikają, ale przeciwnie — pojawiają się wciąż nowe. Dziś musimy zrozumieć twórców marksizmu na nowych, nieoczekiwanych zakrętach historii. Niestety, we wszystkich podręcznikach są oni przedstawiani tak, jakby od dawna i ostatecznie wszystko było już wyjaśnione. Ich myśli podawane są nie jak problemy, lecz jako gotowe odpowiedzi. Na tym też polega istota dogmatyzmu.

Dlaczego właśnie profesjonalne — z pozoru — komentarze okazują się pomyłką, przeszkodą? Dlatego, ponieważ nie są one aż tak profesjonalne, jakby się to wydawało. Wszystko opiera się na założeniu, jakoby klasycy zawsze i w całości mieli rację, że po ich stronie była prawda, a po stronie przeciwników — wyłącznie kłamstwo. I nawet wówczas, kiedy klasycy sami zmieniają swoje poglądy, sprzeczą się ze sobą, ze swoimi wcześniejszymi opiniami — nawet wówczas zamiast intelektualnych sprzeczności, poszukiwań, wyborów, wątpliwości właściwych dla żywego umysłu — komentator mówi jedynie, że są to przewarżościowania dokonywane pod wpływem zmieniającej się rzeczywistości. No więc tak — rzeczywistość się zmienia, ale oni sami — już nie. Klasycy mieli też wykształconych, utalentowanych, a niekiedy genialnych oponentów — Bakunin, Lassalle, Kropotkin i Plechanow. Tymczasem często staramy się przedstawić ich w gorzszym świetle, jako głupszych od klasyków, obniżając tym samym wartość tych ostatnich. Znaczenie idei Marksa, Engelsa i Lenina rośnie w historii. Nabiera ona treści, których oni sami bezpośrednio nawet nie przewidzieli. Ich idee otwarte są na przyszłość. [...]

Przed wizyta Jana Pawła II w Lublinie

NA CZUBACH...

Henryk Więclawski

ZWIĄZKI Karola Wojtyły z Lublinem były przez wiele lat rozległe. Uczestniczył tu w sympozjach i spotkaniach naukowych, poznawał ludzi, nawiązywał przyjaźnie. Od 1953 roku związał się z Katolickim Uniwersytem Lubelskim, na którym wykładał teologię moralną i etykę społeczną. Regularnie przybywał na zajęcia z Krakowa, rzadko nocując w uniwersyteckim hotelu. Czas przejazdów lubił wykorzystywać na lekturę. Fascynowała go wówczas Maxa Schelera teoria wartości i ludzkiej natury. Potem przyszedł jednak pamiętny październik 1978 i związki te się urwały. Jak dotąd, nigdy jeszcze nie przywiodła go do naszego miasta droga papieża-pielgrzyma. Akt promocji na doktora honoris causa wszystkich nauk wykładanych na KUL-u odebrał w Warszawie 26 czerwca 1993 roku.

Na spotkaniu z uniwersytecką delegacją powiedział wtedy: „Dziękuję za wasze odwiedziny w Warszawie, skoro nie mogło dojść do moich odwiedzin w Lublinie. Pragnę jeszcze raz zapewnić, że bardzo pragnę — i nadal pragnę — znaleźć się w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, który przez szereg lat był moim warsztatem pracy”. To pragnienie znalazło swój wyraz teraz, w czerwcu 1987 roku, w czasie trzeciej podróży Jana Pawła II do Ojczyzny. Wraz z profesorami i studentami KUL-u powitają go wielotysięczne rzesze mieszkańców miasta i okolicznych województw.

Papież przybędzie do Lublina we wtorek 9 czerwca. O godzinie 9.30 w mauzoleum byłego obozu koncentracyjnego na Majdanku odmówi modlitwę za pomordowanych i złoży kwiaty, o godzinie 10.15 spotka się z pracownikami i studentami KUL, a o 16.00 w dzielnicy Czuby odprawi mszę, w czasie której udzieli święceń kapłańskich. Po mszy odleci do Tarnowa.

Nie ma sensu wyliczanie pracowników porządkowych i sanitarnych, którzy będą zaangażowani podczas tej wizyty, podawanie liczby „oczek” i budek z hamburgerami i bigosem, natężenia światła i głosu, stopnia zużycia materiałów, sił i środków. Wiadomo, że przy okazji podobnych imprez to wszystko musi być i że także tym razem miasto musi sobie z tym poradzić, w wielokrotnionym wymiarze. Komitet Organizacyjny jest ciałem kompetentnym i prężnym. Komunikaty z jego posiedzeń brzmią optymistycznie. Współpraca władz państwowych i kościelnych układa się dobrze. To w aspekcie globalnym. Jak jednak czuje się dzielnica, która będzie świadkiem kulminacyjnego momentu papieskiego pobytu? To ona wszakże musi pomieścić w czerwcowe popołudnie milion, a może półtora miliona widzów i wiernych. Czy pod koniec kwietnia żyje już tym dniem? Czy odczuwa radość i podniecenie? Czy jest gotowa i dumna?

Wybór miejsca na główne lubelskie spotkanie papieża z wiernymi nie był wcale rzeczą łatwą. Zakładając zgromadzenie miliona, do półtora miliona ludzi, należało brać pod uwagę obszar około pięćdziesięciu hektarów. Ile jest w naszym mieście takich miejsc? Proboszcz parafii na Czubah, ksiądz Ryszard Jurak, sam objeżdżał wszystkie miejsca z możliwych. Z pewnych względów odpadł Majdanek i Rada-wiec. Czuby ze swoimi odkrytymi obrzeżami stały się wówczas głównym miejscem wyboru. Choć i tutaj teren nie jest idealny. Ze względów bezpieczeństwa ojciec Tucci, szef papieskiej ochrony, wyrażał zastrzeżenia do tzw. Czarnego Lasu, zamykającego horyzont od strony warszawskiej magistrali; pole pod plac zgromadzenia pozostaje od dawna rozkopane (trwa zbrojenie terenu pod budowę kolejnych bloków), do niedawna uprawiali tam rolnicy ziemię, grunt jest podmokły i grząski. Oby dziewięć czerwca przyniosła słoneczną pogodę! Na wątpliwość zabrakło już jednak czasu, trzeba się było zabrać do pracy.

Późnookwietniowy dzień jest chłodny; wieje silny, porywisty wiatr. Od

rana kręcę się po dzielnicy. Do wizyty pozostał jeszcze przeszło miesiąc. Czuby zagospodarowują się ładnie. Wewnętrzne osiedla mają już podrosłe drzewa, zielone trawniki, zorganizowane place zabaw. Kolorowość bloków jest tu chyba większa niż w innych dzielnicach miasta. Może dlatego, że są takie nowe. Do przyjazdu papieża przygotowuje się w atmosferze powagi cały kraj. O te wypielęgnowane trawniki i kwiatowe rabaty martwili się jednak mieszkańcy na osiedlowych zebraniach. „Przecież takie tłumy nie ograniczą się tylko do wyznaczonego miejsca” — mówiono. „Muszą dojść alejkami na miejsce ceremonii”. „Wielu ludzi przyjedzie z daleka, gdzie będą nocować? W hotelach zamieszkają dziennikarze i dostojni goście”. „Doświadczenia z poprzednich wizyt wykazały, że pielgrzymi okupują piwnice bloków i klatki schodowe”. „Szkody na pewno będą, na jaką rekompensatę możemy w takim przypadku liczyć?”

Nie ma w tych głosach żalu ani niechęci; jest tylko gospodarska troska o uratowanie wysiłku włożonego dotychczas w ozdobienie sąsiedztwa swoich miejsc zamieszkania. Prezes spółdzielni „Czuby”, przedstawiciel osiedlowych administracji nie zostali zaproszeni do Komitetu Organizacyjnego. Może dlatego unikają ze mną rozmów, zasłaniając się ignorancją w znajomości szczegółów. Trudno, rzecz jasna, aby czterdziestotysięczne miasto w mieście żyło od kilku miesięcy jakimkolwiek wydarzeniem. Nawet największym. Dlatego dzisiaj dzielnica chodzi jeszcze za swoimi codziennymi sprawami. „Niech pan się nie martwi — mówi mi jeden z mieszkańców. — Przygotowania trwają i na pewno wszystko będzie gotowe na czas. Jesteśmy informowani o zasadach zachowania porządku, wytyczono już miejsca pod sektory, sterty gruzu leżące na skarpie przy ulicy Armii Krajowej znikają. Ja już dostrzegam tu ruch. Póki co, dzielnica musi jednak przecieć żyć normalnie”.

Od kilku tygodni w parafiach całej Lubelszczyzny zbierane są „tace” na przyozdobienie trasy papieskiego przejazdu.

Czuby — jak mówiłem — we wnętrzu osiedli zagospodarowują się ładnie; obrzeża dzielnicy wszakże przypominają na dzień dzisiejszy księżycowy krajobraz. Wielkie pole pod Czarnym Lasem zryte jest bruzdami wykopów pod kanalizację. W wąwozie między ulicą Stogi i Porębą rozłożył swój sprzęt wiertniczy geodzy, wokół kaplicy pod wezwaniem

wię na takie rozwiązanie. Czy wybraza pan sobie ściąganie specjalnych ekip z zakładów pracy? To przecież sprawa nas, mieszkańców. Całe miasto ma wystarczająco dużo pracy do zrobienia”.

Proboszcz Jurak uśmiecha się dobitnie.

— Na pewno zdążymy ze wszystkim — mówi. — Codziennie mamy tu wizyty przedstawicieli Kurii i władz państwowych. Wszystko będzie, jak należy. Lublin przywita papieża nie gorzej niż inne miasta. Piętnastego maja przedsiębiorstwa budowlane przekażą nam cały teren. Na razie muszą jednak wykonywać swoje normalne zadania.

Otrzymuję od proboszcza schemat zagospodarowania terenu pod spotkanie Jana Pawła II z wiernymi. Kościół jest jeszcze w budowie i świeci czerwienią nowo wmurowanych cegieł (vide: fotografie). Budowa zostanie podlegnięta do wysokości pierwszego piętra, następnie oszalowana i nakryta podium, na którym stanie chór i orkiestra. Podium mieć będzie około 100 m kw. powierzchni. Z przodu, bliżej ulicy Przełom, znajdzie się wieża-platforma, wysokości ponad dwadzieścia metrów, na której zajmie miejsce papież. W ten sposób będzie on widoczny dla wiernych z dużej odległości. Przechodzimy w ten centralny punkt przyszłej ceremonii. Wykopy już ukończono, trwają prace montażowe. Projekt ołtarza wybrano spośród szesnastu prac zgłoszonych na konkurs zorganizowany pod patronatem SARP. Wygrał pomysł inżyniera architekta Machnika. Sektory dla wiernych zaplanowano w kwadracie ulic: Jutrzenka, Filaretów, Armii Krajowej i Stogi. Sektory przecinać będą przewidywane przejścia utwardzone. W wąwozie między strefami Widok i Poręba zajmą miejsca zespoły sanitarne. Obejmować zresztą będą całe miejsce zgromadzenia. Zaplanowano także wjazdy dla karet (w Krakowie w 1983 roku, podczas drugiej wizyty papieża, hospitalizowano ponad 2,5 tysiąca osób), cały plac zostanie ogrodzony.

Kiedy w późnookwietniowy dzień chodzę po dzielnicy, mimo przekonania o nadmiarze własnej wyobraźni nie potrafię jeszcze w myślach zobaczyć tego wszystkiego. Na tyłach kościoła przycupnął w załamaniu terenu kolorowy barakowóz Przedsiębiorstwa Rozrywkowego z Warszawy. Krzykliwy napis głosi: „Gry komputerowe”. Grupy młodych chłopaków tłoczą się przy wejściu. Dwóch spośród nich składa się z niehawiścią pięściami. Mała dziewczynka mówi mi, że papież ma przyjechać w lipcu. Siostra za-

— Tutaj na brak rąk do pracy nie narzekamy — mówi kierownik budowy kościoła. — Zawsze znajdziemy przy tym tylu chętnych, ilu będzie potrzeba. Możemy pracować nawet dzień i noc.

Zgłasza się dwóch młodych chłopaków do kościelnej służby porządkowej. Trudno, rzecz jasna — powtarzam — by jakiegokolwiek wielkie skupisko ludzkie żyło od miesięcy wyłącznie jednym wydarzeniem. Nawet największym. Na przeszło miesiąc przed wizytą papieża dzielnica Czuby podała nadal za swoimi codziennymi sprawami.

W domach rozmawia się już jednak o wizycie coraz częściej. Trwają dyskusje i przewidywania. Poszeptuje się o sensacjach i wymienia ploteczki. Spora część zajmują w tych rozmowach ponoć wiarygodne przepowiednie i specjalne proroctwa. Sztaby



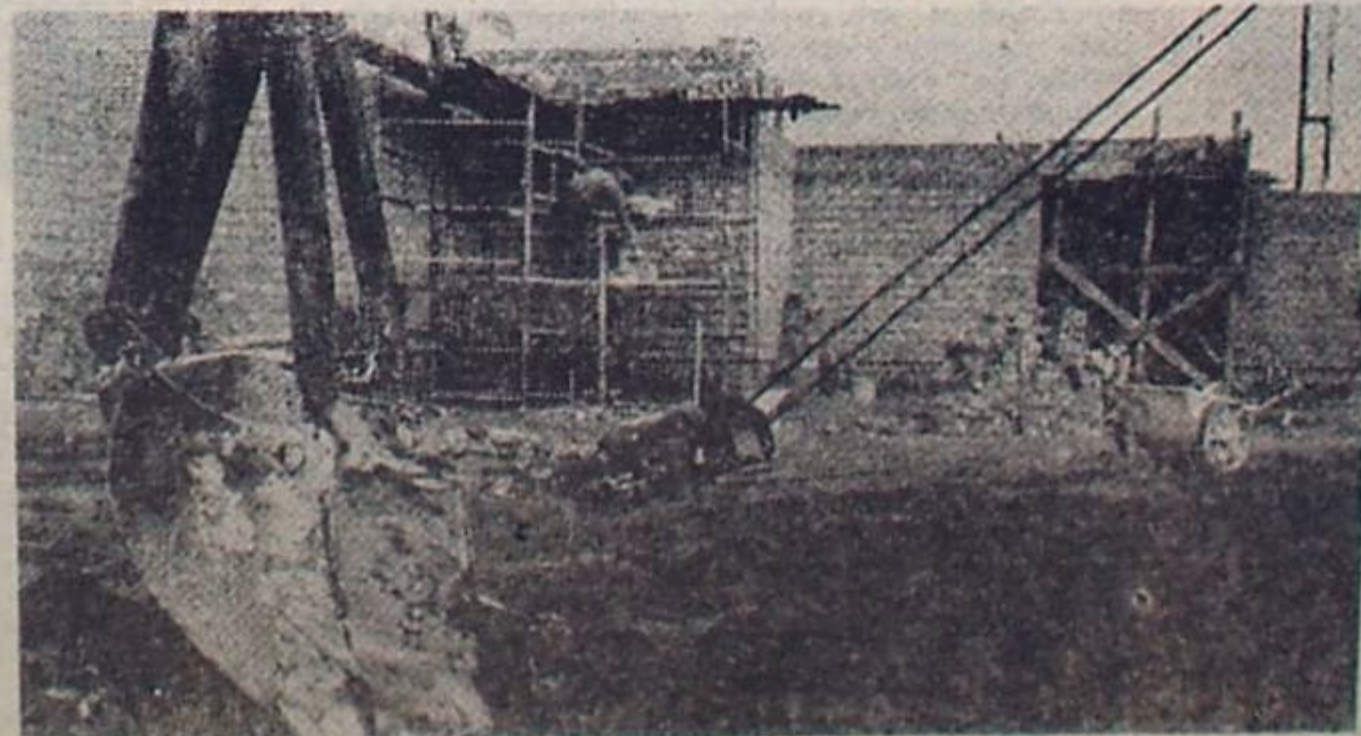
ludzi opracowują plany i schematy. Paliki wytyczające sektory już osadzono w ziemi. Kiedy ten reportaż dotrze do rąk czytelników, zniknie już zapewne wiele z elementów dzisiejszego księżycowego rozbabrania. Nie wątpię, że 9 czerwca Czuby, tak jak dzielnice innych polskich miast, znajdujących się na trasie trzeciej w Ojczyźnie wizyty Jana Pawła II, wystąpią godnie i uroczystie. Będzie w tym trochę improwizacji i twórczego wysiłku. Będzie jednak, jak przypuszczam, także poczucie dumy i wyróżnienia. A potem życie powróci znowu do codziennej normy, realizowanej zapobiegliwością wokół kwiatowych rabat, zielonych trawników i kolorowych placów zabaw dla dzieci. Pozostaną wspomnienia, foldery, broszury i własne amatorskie zdjęcia.

— Staramy się o stworzenie odpowiedniej bazy technicznej i warunków, aby dziennikarze z całego świata mogli sprawnie pełnić swoje funkcje — powiedział dziennikarzowi PAP wykładowca w Katolickim Uniwersytecie w Lublinie, ks. doc. Stanisław Wielgus, jedna z głównych postaci Komitetu Organizacyjnego.

Polska i spora część świata zobacza za miesiąc Czuby w odnowionej i niecodziennej szacie. Dobrze, żeby część tych efektów pozostała tutaj na stałe.

— Takie wizyty przechodzą przecież do historii — powiedział mi jeden z robotników. — Może wymagają od miasta wysiłku, ale przynoszą także te wymierne, i te bardziej utajone korzyści.

Fotografował Przemysław Ostrzyżek



św. Rodziny poniewierają się hałdy piasku i tłuczni, leżą sterty równo uciętych świeżych desek. Sztaby ludzi w Komitecie Organizacyjnym opracowują plany i schematy funkcjonowania służb porządkowych i medycznych, wyżywienia i zakwaterowania gości. Czuby tymczasem nadal jeszcze żyją normalnym rytmem codziennej pracy. Czy zdążą?

„Kiedy przyjdzie czas, setki ludzi uporządkują to wszystko w czynie społecznym — powiedział mi jeden z rozmówców. — Nie ma się co krzy-

konna, ciągnąca za sobą wózek z zakupami, nie chce rozmawiać o wizycie nawet w trakcie przypadkowego spaceru. Odsyła mnie do proboszcza. Nie chce udzielić wypowiedzi — oficjalnej — prezes Spółdzielni, a nieoficjalnej — wikary. Trudno więc mówić tutaj o atmosferze wizyty. Pozostają deklaracje. Jeden ze znanych wspomina, jak to na kilka dni przed pierwszą wizytą papieża w Krakowie zastał na miejscu spotkania samotnego górala z siekierką. Nazajutrz ołtarz był już w polowie ukończony.

8 MAJA w Warszawie rozpoczęła obrady II Kongres Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, w którym uczestniczyć będzie m.in. 33-osobowa delegacja Lubelszczyzny, gdzie we wszystkich strukturach tej formacji działa ponad 20 tys. obywateli. Zapytajmy więc, co zrobili ci ludzie przez niespełna cztery lata, czyli w okresie kadencji Rady Wojewódzkiej PRON, powołanej 15 lipca 1983 roku?

Lista dokonań ruchu jest bardzo obszerna, obejmuje prawie 33 strony druku, na których przedstawiono historię tej obywatelskiej aktywności, ilustrowanej rosnącą liczbą ogniw i uczestników PRON, oraz różnorodne formy działania, przebiegające przez bodaj wszystkie ważne rejony naszego bytu zbiorowego. PRON był obecny lub próbował dotrzeć wszędzie tam, gdzie schorowana rzeczywistość domagała się racjonalnej, doktrynersko nieskażonej diagnozy, pilnej terapii, zdecydowanej operacji. Jego możliwości w tym względzie okazały się znaczne, o czym w poważnym stopniu zdecydowała wielowątkowa stratyfikacja ideowa członków ruchu, implikująca różnorodność opinii i koncepcji, których wektor realizacyjny musiał siłą rzeczy respektować odmienne przecież nastawienia i potrzeby naszego społeczeństwa. Tak zatem wśród ogółu uczestników rad stopnia podstawowego i rady wojewódzkiej 50 proc. stanowili członkowie PZPR, 17 proc. — ZSL, 4 proc. — SD, 0,5 proc. — stowarzyszeń katolickich, 28,5 proc. — bezpartyjni.

Odsetek osób bezpartyjnych wydaje się wysoki, ale chyba nie optymalny. W uchwale II Zjazdu Wojewódzkiego PRON, który odbył się w marcu, znajduje się zresztą taki postulat:

„Potrzebne nam jest odnalezienie skutecznych form dotarcia [...] szczególnie do bezpartyjnych ludzi pracy, środowisk opiniotwórczych. Popieramy inicjatywę wysuwania przez Ruch — głównie bezpartyjnych — na stanowiska w administracji państwowej i gospodarczej, widząc w tym umacnianie stabilności naszego państwa, rozszerzanie sił podmiotowych zdolnych do realizacji stojących przed narodem zadań”.

Wspominając w uchwale o „środowiskach opiniotwórczych”, miano zapew-

Przed II Kongresem PRON

ne na uwadze m.in. stowarzyszenia i związki twórcze oraz inne ugrupowania z obszaru kultury symbolicznej, których obecność w PRON nie uwzględniała się dotąd u nas w sposób proporcjonalny do ich społecznego znaczenia. Tymczasem właśnie na forum ruchu organizacje te mogły zgłaszać inicjatywy programowe, których realizacja jest tyle realna, bo wsparta autorytetem PRON, co zależna od innych instytucji. Dziwne, że z szansy tej korzysta się w niewielkim stopniu. Niby wszyscy wiedzą, że „nieobecni nie mają racji”, ale w praktyce mądrość ta często przegrywa z wabiącym egotyzm partokularyzmem, jakże rozpowszechnionym w niektórych środowiskach twórczych. Inna sprawa, że PRON nie znalazł chyba dotąd, wspomnianej w uchwale, „atrakcyjnej oferty programowej”, która zdolna byłaby autentycznie zainteresować wiadome stowarzyszenia i związki.

W materiałach informujących o działalności PRON na Lubelszczyźnie stwierdza się, że „Jednym z najistotniejszych celów ruchu odrodzenia narodowego jest budzenie uczuć patriotycznych, utrwalanie u obywateli poczucia godności narodowej, uczenie szacunku dla chlubnej przeszłości ojczyzny i osiągnięć własnego regionu, doceniania ludzi, którzy ją kształtowali”.

Cel ten realizowano z dużym rozmachem organizacyjnym, urządzając serie spotkań, prelekcji i dyskusji z udziałem dorosłych i młodzieży. Podczas tych imprez, którym nierzadko towarzyszyła gorąca atmosfera, poruszano problemy najbardziej drażliwe, ciągle nekażące polską pamięć zbiorową. Rada Wojewódzka patronowała też obchodom tych rocznic, jakie wyznaczają daty: 11 listopada i 22 lipca, które kilka lat temu trudno byłoby umieścić na jednej liście. PRON cierpiał się przekonaniem, że Polska jest ojczyzną wszystkich Polaków, a racjonalne, skuteczne i społecznie rozległe działania na rzecz kraju, w interesie państwa, opiera się m.in. na rozwiniętej, rozumiejącej świadomości historycznej i politycznej obywateli.

Trzeba jednak wiedzieć, że obecność działaczy PRON wśród młodzieży jest znacznie większa, niż obecność młodych ludzi w aktywach ruchu.

Należy też mieć na uwadze, że inicjatywy PRON w sferze odrodzenia moralnego i zwalczania patologii społecznej, warte najwyższego uznania, nie przyniosły takich rezultatów, jakich należałoby się spodziewać. Wspomnijmy przecież, że właśnie Rada Wojewódzka PRON i WRN dały impuls do zwołania w kwietniu minionego roku konferencji na temat patologii społecznej. W tej analitycznej naradzie uczestniczyło 160 osób ze wszystkich środowisk społecznych, w tym duchowni różnych wyznań. W rezultacie opracowano jednolity program działania, w którym precyzyjnie określono zadania wszystkich państwowych, samorządowych i społecznych uczestników zwalczania patologii. Jednocześnie PRON podjął bezpośrednią współpracę z Towarzystwem Zapobiegania Narkomanii, Monarem i Społecznym Komitetem Przeciwalkoholowym.

Ważne miejsce w programach i pracy PRON zajmowały takie niedoinwestowane dziedziny naszego życia, jak szkolnictwo i ochrona zdrowia. Dość powiedzieć, że wyłoniony z Komisji Oświaty PRON, w październiku 1984 roku, Wojewódzki Komitet Narodowego Czynu Pomocy Szkole i jego terenowe odpowiedniki zgromadziły do końca minionego roku 300 mln zł, przy czym część tej kwoty (prawie 500 tys. zł) zebrała młodzież szkół ponadpodstawowych. Według statystyki z grudnia 1986 roku, na Lubelszczyźnie funkcjonowało 39 komitetów budowy obiektów szkolnych, skupiając 780 działaczy. W czynnie społecznym wznoszono 23 obiekty oświatowe, dla 7 opracowywano dokumentację, dla 9 gromadzono środki, aczkolwiek nie posiadano „zgody na ich budowę”. Powołana w październiku 1984 roku Wojewódzka Rada Współdziałania Zakładów Pracy ze Szkołami niemal całkowicie odbudowała instytucję patronatu, która uległa poważnej destrukcji w okresie 1981-84.

Z kolei na koncie Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia, który jest agendą PRON, zgromadzono 1 mld 274 zł! W porównaniu z początkiem lat osiemdziesiątych, częściej i więcej świadczy się na ten cel ale i tak wiele zakładów pracy nadal stroni od wspierania NFOZ. Inaczej mówiąc: jest dobrze, choć liczba ofiarodawców ciągle nie osiąga poziomu z końca lat 70-tych.

Pożyteczne rezultaty przynosi inicjatywa małych kroków społeczno-gospodarczych, które w skali miasteczek, gmin czy wsi nabierają przecież realnej wielkości. Chodzi o czyny społeczne, podejmowane i wykonywane wspólnym wysiłkiem rad narodowych i PRON. Tym sposobem np. w Świdniku przystąpiono do budowy sieci gazowej dla mieszkańców Adam-pola i powołano komitet budowy domu kultury, na którego koncie zgromadzono 215 mln zł. W innych miejscowościach powstają: tu świetlica, tam ośrodek zdrowia i sklep spożywczy, gdzieś indziej — nowe odcinki dróg i boiska.

Z drugiej strony okazuje się, jak płonne są nadzieje na terminową i rytmiczną realizację pewnych poważnych zadań, ujętych np. w programie wyborczym PRON, szczególnie w tych jego częściach, które określają plany budownictwa mieszkaniowego i zagospodarowania przestrzennego (konkretnie: dla 28 jednostek administracyjnych). Natomiast wnioski obywatelskie, zgłoszone w trakcie kampanii wyborczej do rad narodowych i do Sejmu, w połowie kadencji organów przedstawicielskich zrealizowane zostały w ponad 30 proc. Sprawa ta, wszak niesłychanie ważna dla rozwoju demokracji, jest przedmiotem stałego zainteresowania PRON.

Wspomniane i nie wymienione obszary pożytecznej działalności PRON na Lubelszczyźnie zdaje się organizować perspektywa pozytywistyczna. To bardzo dobrze, albowiem w Polsce nigdy za dużo cierpliwej, rzetelnej pracy w materii codzienności. Ale czy w ruchu stymulowanym według tego jednego wzoru może pojawić się coś autentycznie pociągające młode pokolenia?!

K.

Kościół a kultura

Zbigniew Stachowski

PROGRAMOWE ożywienie aktywności Kościoła katolickiego w sferze szeroko rozumianej kultury, mieszczące się przecież w proklamowanym programie agiornamento, przystosowania Kościoła do współczesnego świata, było następstwem, z jednej strony, szukania adekwatnych sposobów zbliżenia się Kościoła do wymogów i oczekiwań ludzkości, z drugiej zaś, przejawem urzeczywistniania w praktyce posoborowej opcji na rzecz kultury, rokującej nadzieję na zapewnienie trwałej obecności Kościoła w życiu współczesnego człowieka.

Opcja kulturalna Kościoła została wyraźnie wyrażona aż w jedenastu końcowych dokumentach Vaticanum II, gdzie zarówno opowiedziano się za nietykalnością, uszlachetnieniem, zachowaniem, rozwijaniem i autonomią kultur — uznając w ten sposób pluralizm kultur — jak i za zredukowaniem ich wartości tylko do tych, które mogą być zasymilowane. W dokumentach tych powiada się bowiem, że kultury należy udoskonalać w Chrystusie, przepajając Ewangelią, uzgadniać z nauką chrześcijańską.

Ow imperatyw uzgadniania kultury z Ewangelią wynikał z przeświadczenia, że w zetknięciu z Ewangelią kultury doznają „ulepszenia, wyniesienia na wyższy poziom i pełnego doskonalenia”, co świadczyłoby o tym, iż uznając ów pluralizm kultur jako fakt obiektywny, realnie istniejący — Kościół się nań jednak nie do końca godzi.

W opublikowanym na zakończenie IV sesji Synodu Biskupów dokumencie, zatytułowanym „O ręką do ludu Bożego”, pojawia się nowa kategoria: inkulturacja, która ma posłużyć do relinkwacji dookreślenia, a zarazem nowego ujęcia relacji: Kościół — kultura. Wiara ma do prostu — zgodnie z intencjami uczestników synodu — zostać „zakorzeniona”, „wszczepiona” w kultury, „przyjmując je i przetwarzając”, zaś katecheza ma stać się w procesie inkulturacji skutecznym narzędziem

w urzeczywistnianiu wiary we współczesnym świecie.

Inkultuacja omówiona została w adhortacji apostołskiej „Catechesi tradendae”. Papież posłużył się tą kategorią, chcąc pełniej wyrazić proces „wszczepiania” Ewangelii za pomocą katechezy i ewangelizacji w „samą istotę kultury i jej formy”. Przy czym Jan Paweł II zwrócił uwagę, iż owo „wszczepianie” Ewangelii „nie może być tak zwyczajnie odłączone od kultury, w której się od początku zakorzeniło [...], ani też bez poważnych strat nie może być oddzielone od tych form kultury, w których było przekazywane w ciągu wieków”. Innymi słowy, uprzywilejowany status kultury chrześcijańskiej, jako wzorca i punktu odniesienia dla wszystkich kultur — niezależnie od zgłaszanych deklaracji na rzecz popierania dialogu kultur, ich prawa do autonomii i uznania pluralizmu — jest nadal obowiązujące.

Rozwijana od 1979 r. koncepcja inkultuacji, jako najbardziej dynamiczny wyraz doktryny kulturalnej Kościoła, jest reakcją — ujmując to w kategoriach najogólniejszych — na niepokojujący Kościół proces autonomizacji i laicyzacji kultury, jest też zapewne odpowiedzią na coraz bardziej odczuwalne w świecie przeświadczenie, że „nie da się zbudować kultury chrześcijańskiej w dawnych formach”, jest także pewną tęsknotą za mediocentryzmem kulturowym.

Preferowana przez Kościół koncepcja inkultuacji ma również inne, wcale nie mniej istotne przesłanki, którym zawdzięcza swoją karierę.

Kościół w inkultuacji widzi także skuteczny instrument w przeciwtawianiu się licznie powstającym nowym ruchom religijnym, siejącym, zwłaszcza na terenie Afryki, prawdziwe spustoszenie wśród parafii katolickich. Wyrazem zaniepokojenia tym stanem rzeczy jest obszerny raport opracowany przez dykasterie watykańskie pt. „Fenomen sekt albo nowe ruchy religijne, wskazania duszpasterskie” (2 V 1986), w którym wprost powiada się, że w tej kwestii „fundamentalnym jest problem inkultuacji”.

W liście do Kardynała Sekretarza Stanu z 20 maja 1982 roku Jan Paweł II powołał Papieską Radę Kultury, mającą m.in. za zadanie czuwać nad trwałą obecnością Kościoła w kulturze. Wiele uwagi tym problemem poświęcono także w trakcie trwania II Nadzwyczajnego Synodu Biskupów (X—XII 1985), który ocenił dwudziestolecie posoborowe. W „Relacji końcowej” opublikowanej na zakończenie tego synodu, powiedziano bowiem, że „inkultuacja różni się jednak od czysto zewnętrznej akomodacji, ponieważ oznacza wewnętrzne przekształcenie wartości kulturowych przez ich integrację w chrześcijaństwo i zakorzenienie chrześcijaństwa w różnych kulturach”. Papież ocenił, iż w ten sposób synod kwestie inkultuacji usytuował w „samym sercu posłuszeństwa Kościoła w świecie” co najpełniej odpowiada prawdzie i zgodne jest z całym szeregiem podejmowanych w tym zakresie inicjatyw, mających na celu wzmacnienie aktywnej obecności Kościoła w kulturze.

Upowszechniając katolicką koncepcję inkultuacji, stanowiącą obecnie istotę stosunku Kościoła do

kultury, nade wszystko eksponuje się potrzebę zakorzenienia bądź inkarnacji Ewangelii w kulturach ludzkich. Wykorzystując w tym celu katechezę, polscy teolodzy podkreślają, iż inkultuacja jest „wniknięciem wiary w najgłębsze podstawy życia ludzkiego; przy czym chodzi tu o takie wnikięcie wiary, aby ona mogła wywrzeć swój wpływ na sposób myślenia, uczucia, przeżywania i działań poszczególnych ludzi”. Inkultuacja powinna w ten sposób „oczyszczać” kultury, przewyższać w nich to, co „niehumanitarne”; ma wszystko „odnowić w Chrystusie”. Chrystus bowiem powinien wcielić się w kulturę; inkultuacja ma być także formą dialogu ze światem.

Inkultuacja jest obecnie próbą szukania i urzeczywistniania takiej formuły teoretycznej i szans działań praktycznych, które umożliwią Kościołowi zarówno względne respektowanie różnorodności kultur w ramach „zdrowej” autonomii, jak i realizowania ideału jedności kultury, przy założeniu, iż celem generalnym tej koncepcji jest wcale nie tażone pragnienie uzyskania hegemonii kulturalnej w skali świata.

Preferowanie przez Kościół katolicki tej inkulturacyjnej strategii ma przynajmniej dwa wymiary. Jeden z nich dotyczy problemów ewangelizacyjnych na terenach permanentnej nieobecności Kościoła, jak Azja i Afryka, drugi zaś wiąże się z procesem rechrystianizacji i ponownej ewangelizacji obszarów tradycyjnie przez Kościół uważanych za chrześcijańskie. W obszarze tym z kolei dostrzec należy różnicowane podejście Kościoła do świata kapitalistycznego i socjalistycznego. Ten ostatni wydaje się być przedmiotem szczególnej troski Kościoła, zwłaszcza w kontekście działań inkulturacyjnych. Świadczeniem potwierdzającym powyższą tezę jest bez wątpienia encyklika „Slavorum apostoli” (22 VI 1985), w której wprost powiada się, że w dziele ewangelizacyjnym dokonanym przez Cyryla i Metodego „zawiera się równocześnie prototyp tego, co dzisiaj nosi nazwę «inkultuacji» — wcielenie Ewangelii w rodzime kultury — oraz wprowadzenia tych kultur w życie Kościoła”.

W ten sposób Kościół wskazał niejako na istnienie historycznej paraleli między dziełem braci Słowiańskich a szansą realizacji podobnej możliwości inkultuacji świata słowiańskiego obecnie. Możliwość takiej właśnie interpretacji słowiańskiej encykliki — a zaprzeczyć jej praktycznie nie sposób — implikuje inny wniosek, mieszczący się generalnie w sferze zakładanych działań inkulturacyjnych. Można bowiem encyklikę tę, a przynajmniej główne jej idee, zasadnie traktować jako watykańskie dyrektywy, nakazujące i podjęcie, i wzmocnienie wysiłku inkultuacji słowiańszczyzny; inkultuacji rozumianej jako projekt kultury alternatywnej, a nawet konfrontacyjnej wobec wzorów i wartości kultury socjalistycznej.

STUDENTOM medycyny na jednej z brytyjskich uczelni — pisał „British Medical Journal” — zadano pytanie jaka choroba pojawiła się nagle, przybyła z Ameryki, przenosi się drogą płciową, występuje nie tylko w postaci jawnego schorzenia, lecz również jako stan bezobjawowego nosicielstwa, i powoduje około 3000 zgonów rocznie? Padła odpowiedź że to AIDS. W rzeczywistości zaś chodziło o kifę, czyli syfilis.

Obawa przed AIDS w krajach zachodnich przybrała niepokojące rozmiary. Zaczęto nawet mówić o nowym zjawisku, określanym mianem AIPS — jest to strach przed zachorowaniem oraz nietolerancja wobec pacjentów chorych na AIDS.

Srodki masowego przekazu mają chyba główny udział w wywoływaniu i podsycaniu tej prawie psychozy, bowiem dość często dane o chorobie są podawane w sposób sensacyjny, snuje się apokaliptyczne wizje społeczeństwa XXI wieku zarażonego AIDS. Jedną z gazet zachodnich traktuje skutki rozprzestrzeniania się tej choroby jako co najmniej równie skuteczną wojnę nuklearną.

WHO (Światowa Organizacja Zdrowia) twierdzi, że około 100 tysięcy osób na świecie choruje na AIDS lub zmarło z powodu tej choroby, zakażonych jest 19 milionów, a za pięć lat przewiduje się wzrost zachorowań do 100 milionów przy założeniu, że do tego czasu nie zostanie wynaleziona skuteczna szczepionka oraz nie zostaną podjęte na szeroką skalę działania profilaktyczne.

W Polsce niekiedy wydaje się nam, że żyjemy na uboczu, że nas to wszystko nie dotyczy, że gdzieś w przyszłości może za kilka czy kilkanaście lat, choroba ta wprawdzie dotrze do nas, ale nie w tak dużej skali, i że wtedy oewno będzie jakaś szczepionka przeciwko tej chorobie.

Zbliża się jednak okres urlopów i wakacji, wzmożony ruch turystyczny z Polski i do Polski, dotyczący również cudzoziemców z Zachodniej Europy, Stanów Zjednoczonych a także z krajów Trzeciego Świata. Wzrost zachorowań na choroby przenoszone drogą płciową jest wyraźnie widoczny po okresie wakacji. Więc choć Polska ze względu na nikłą liczbę zachorowań uważana jest na świecie za kraj względnie bezpieczny, jeśli chodzi o AIDS, należy nasilić informacje w naszych środkach masowego przekazu o istocie tej choroby, o skutkach przypadkowych kontaktów seksualnych.

Głównym zadaniem medycyny nie jest — jak to się najczęściej wydaje — rozpoznanie choroby i leczenie, lecz profilaktyka. Ona też w skali każdego kraju — patrząc ekonomicznie — jest najważniejsza. A jaka istnieje profilaktyka AIDS w Polsce? Raczej mizerna. Uczone wywody naszych naukowców w nielicznych audycjach radiowo-telewizyjnych czy artykułach prasowych są zrozumiałe w całości przez lekarzy specjalistów, w części przez innych lekarzy i studentów medycyny, a w niewielkim jedynie stopniu przez resztę społeczeństwa.

Ludzie chcą otrzymać proste informacje o bezpiecznym seksie, o sposobach unikania zakażenia, wreszcie o istocie AIDS. Tymczasem takich informacji brakuje. Ukazała się wprawdzie ulotka z zakresu profilaktyki AIDS znanego seksuologa, doc. A. Jaczewskiego, napisana w sposób przystępny, zrozumiały dla każdego, ale w „zawrotnym” nakładzie 100 tys. egzemplarzy. Ilu z czytelników chociażby ją widziało? Jest także kilkunastominutowy film informujący o tej chorobie, mógłby być wyświetlony w telewizji, lecz firma ta, powołując się na reformę gospodarczą, żąda horrendalnych sum za jego emisję, na co resort zdrowia nie może sobie pozwolić. (W RFN przeznaczono na propagandę profilaktyki AIDS 20 milionów marek rocznie).

AIDS („acquired immune deficiency syndrome”), czyli zespół nabytych niedoborów immunologicznych, po raz pierwszy został opisany przez autorów amerykańskich w 1981 roku. W trzy lata później zespoły naukowców amerykańskich w Narodowym Instytucie Badań Raką w Bethesda (USA) i naukowców francuskich w Instytucie Pasteura w Paryżu niezależnie od siebie odkryły wirusa HIV odpowiedzialnego za AIDS. Wirus ten jest nietrwały, ginie w temperaturze około 60°, a także w bardzo nawet rozcieńczonych roztworach środków dezynfekcyjnych. W organizmie człowieka atakuje głównie komórki o nazwie limfocyt T (należące do leukocytów, krwinek białych odgrywających dużą rolę w procesach odpornościowych).

Od początku pojawienia się tej choroby wyróżniono też grupy najwyższego zagrożenia na zakażenie. Są to homoseksualiści, biseksualiści, partnerki seksualne biseksualistów, chorzy na hemofilię, osoby otrzymujące liczne przetoczenia krwi w celach leczniczych narkomani stosujący preparaty dożyłne przy pomocy niesterylizowanych przyrządów, noworodki urodzone z matek zakażonych, prostytutki oraz ich klienci.

Po wtargnięciu wirusa HIV do organizmu zdrowego człowieka u 90 proc. ludzi dochodzi po kilku lub kilkunastu dniach do zespołu chorobowych przypominających mononukleozę zakaźną, przebiegającą z podwyższoną temperaturą, powiększeniem węzłów chłonnych oraz śledziony i wątroby. Może też dojść do zespołu rzekomo-grypowego albo do zapalenia opon mózgowych i mózgu z wysoką temperaturą, zaburzeniami lub utratą przytomności, drgawkami.

Wszystkie te rodzaje zespołów, mimo ich nasilonych objawów i niekiedy dramatycznego przebiegu, po podjęciu właściwego leczenia kończą się pełnym wyzdrowieniem. Po czym następuje rozmaitej długości okres bezobjawowego nosicielstwa. W tym czasie stwierdza się we krwi chorych przeciwciała anti-HIV. Ludzie ci pozostają zakażeni i zakaźni dla otoczenia do końca życia. U 10 proc. z nich w późniejszym okresie, po kilku miesiącach lub latach, dojdzie do rozwinięcia pełnoobjawowego zespołu AIDS.

W grudniu 1985 roku w Genewie eksperci WHO ustalili, że AIDS jest chorobą charakteryzującą się

Jednym lub kilkoma zakażeniami organizmu przez tzw. drobnoustroje oportunistyczne. Drobnoustroje te mogą przebywać w organizmie zdrowego człowieka, nie wywołując objawów chorobowych, natomiast u człowieka zakażonego wirusem HIV rozwijają się w wyniku niedoboru odporności komórkowej. Ustalono również, że u człowieka chorego brak jest jakichkolwiek innych znanych przyczyn niedoboru odporności poza zakażeniem wirusem HIV.

Co wiemy o AIDS?

Adam Andrzej Jasiński

Należy dodać, że oprócz powyższych zakażeń, w pełnoobjawowym zespole AIDS występuje rzadko spotykany nowotwór zwany mięsakiem Kaposiego lub też zmiany w mózgu i rdzeniu kręgowym, wiążące się z postępującym ośłupieniem, porażeniami, nietrzymaniem moczu i stolca.

Mimo stosowania różnych leków, do tej pory nie znaleziono skutecznej metody leczenia zakażeń wirusem HIV. W wielu przypadkach miarą skuteczności zastosowanych leków jest tylko przedłużenie życia chorych z pełnoobjawowym zespołem AIDS. Wszystkie te przypadki kończą się śmiercią.

Według opinii lekarza generalnego Stanów Zjednoczonych, AIDS nie jest chorobą tylko mężczyzn, występuje także u kobiet i dzieci, ma tendencję do rozprzestrzeniania się poza pierwotne swe środowisko, tj. krąg homoseksualistów i narkomanów dożylnych. Wirus HIV może znajdować się w kilku płynach ustrojowych człowieka. Najczęściej do zakażenia dochodzi drogą stosunku płciowego z już zakażonym osobnikiem — przez kontakt z jego krwią, nasieniem czy wydzieliną pochwową zakażonej kobiety. Dodajmy, że znaleziono również wirusa w ślinie, łzach i pocie, ale przy kontakcie z tymi płynami ustrojowymi raczej nie dochodzi do zakażenia, bowiem najważniejszą barierą ochronną stanowi nie uszkodzona skóra i błona śluzowa.

W razie podejrzenia partnera o wcześniejsze związki hetero- czy homoseksualne lub też o narkomanie dożylną należy odbywać stosunki płciowe używając prezerwatyw. Ryzyko infekcji wirusem HIV wzrasta wraz z liczbą kontaktów seksualnych z kolejnymi partnerami bez względu na ich płeć.

Nie można natomiast zarazić się przez podawanie ręki, całowanie (opisano przypadek reanimacji chorego umierającego na AIDS przez dwie młode pielęgniarki, które zastosowały oddech usta-usta i nie doszło do zakażenia). Nie można też zarazić się przez zetknięcie się ze łzami, drogą kropelkową, przez wspólne używanie pływalni, basenów kąpielowych, wani, wspólnych naczyń i sztućców, a także dotykaniem klamek, telefonów, mebli, maszyn biurowych, czy wreszcie przez nieseksualne kontakty cielesne.

Przypuszcza się, że w środowisku i organizmie ludzkim istnieją jednak czynniki sprzyjające zakażeniu, bowiem, jak wyżej wspomniano, nie wszyscy zakażeni chorują. Wymienia się tu stresy, chemizację życia, nadmierne stosowanie antybiotyków oraz leków obniżających odporność i leków hormonalnych.

W Polsce problemem AIDS zajmuje się Instytut Wenerologii w Warszawie oraz Zakład Immunologii Państwowego Zakładu Higieny, którego kierownik, prof. Adam Nowosiłowski, jest jednocześnie przewodniczącym zespołu do spraw AIDS przy ministrze zdrowia i opieki społecznej. Prof. Nowosiłowski twierdzi, że w naszym kraju do tej pory mamy niewiele zarejestrowanych przypadków AIDS, konkretnie 27 osób, głównie nosicieli przeciwciał anti-HIV (stan na koniec marca br.). W zeszłym roku stwierdzono jeden przypadek pełnoobjawowego zespołu AIDS, zakończony śmiercią. Chodziło o obywatela polskiego, który powrócił do kraju po kilkuletnim pobycie za oceanem. W tym roku zarejestrowano podobny przypadek (też reemigranta).

Polska, będąc członkiem Światowej Organizacji Zdrowia, należy do sekcji, która organizuje diagnostykę i badania AIDS w skali światowej. Istnieje przepływ informacji w obie strony (są to półroczne meldunki oraz spotkania naukowców). Korzystamy też z umów międzynarodowych, zawartych z wieloma krajami świata, po to, aby nasi specjaliści mogli się zapoznać z obecnym stanem opieki zdrowotnej w przypadkach AIDS.

Jak do tej pory, w naszym kraju nie ma żadnych postanowień dotyczących badania krwi i wydawania zaświadczeń osobom przyjeżdżającym do Polski. Wymogi takie stawiają niektóre kraje ocaeuropiejskie. Przeprowadzono u nas badania 35 tysięcy dawców krwi i znaleziono tylko jeden przypadek z przeciwciałami anti-HIV (homoseksualisty). Rezygnuje się z pobierania krwi dla celów leczniczych od obcokrajowców, także od osób świeżo po akupunkturze i tatużu, od narkomanów stosujących preparaty dożyłne. Apeluje się do prostitutek i homoseksualistów o rezygnację z oddawania krwi. Przebadano wszystkie polskie dzieci

operowane z powodu wad serca w Stanach Zjednoczonych i w Holandii — u żadnego nie stwierdzono zakażenia.

Zamierza się podjąć zakrojoną na szeroką skalę akcję badania marynarzy oraz narkomanów. Dodajmy też, że należałoby podobną akcją objąć więźniów i żołnierzy. Wykorzystując wrażliwość wirusa HIV na podwyższoną temperaturę oraz na nawet badzo rozcieńczone środki dezynfekcyjne, zaleca się przestrzeganie podstawowych zasad higieny. Personel medycyny i laboratoryjny, który ma kontakt z krwią, przestrzegający przepisów bhp z zakresu tzw. żółtaczki wszczepionej (czyli wirusowego zapalenia wątroby typu B), jest wystarczająco zabezpieczony przed zachorowaniem na AIDS, możliwość zakażenia jest tu 30-krotnie mniejsza. Pod koniec 1987 roku mają ukazać się materiały z zakresu profilaktyki AIDS, przeznaczone dla studentów i uczniów. Drukuje się także odpowiednie instrukcje dla pracowników służby zdrowia.

Czytelników zainteresuje zapewne możliwość wykonania badania krwi. Otóż ośrodkami pierwszego kontaktu są przychodnie dermatologiczne, można też zgłaszać się do Instytutu Wenerologii w Warszawie. W każdym przypadku wykonuje się podstawowe badanie ogólnolekarskie, zostaje zebrany dokładny wywiad wtedy dopiero lekarz decyduje, czy pacjent ma być poddany badaniu krwi. Badania są objęte tajemnicą lekarską. Przyjmuje się, że jeśli od ostatniego niepewnego kontaktu seksualnego upłynęło ponad pięć lat bez żadnych niepokojących objawów, nie ma konieczności badania krwi.

Badania te są dość kosztowne, a obciążają Skarb Państwa; stosuje się testy immunoenzymatyczne (ELIZA) produkcji amerykańskiej i holenderskiej. Jeśli w wyniku pierwszego badania nie stwierdza się przeciwciał anti-HIV, koszt wynosi około dwóch dolarów, w przypadku ich stwierdzenia należy badanie powtórzyć także przy użyciu innych metod i wtedy koszt wzrasta do ponad czterdziestu dolarów. Przypuszczam, że w niedługim czasie testy te będą tak rozpowszechnione iż możliwe stanie się u nas badanie większej populacji społeczeństwa, podobnie jak obecnie masowo wykonuje się badania popularnie zwane WR.

Badania nad wirusem HIV i nad przebiegiem choroby AIDS prowadzi się w wielu doskonale wyposażonych laboratoriach i klinikach na całym świecie, przy zaangażowaniu dużych nakładów finansowych. W krótkich odstępach czasu pojawiają się doniesienia o nowo odkrywanych właściwościach wirusa oraz o mechanizmach powstawania tej groźnej choroby. Naukowcy jednak dość sceptycznie wypowiadają się na temat wyprodukowania skutecznej szczepionki przeciwko wirusowi HIV w ciągu najbliższych pięciu lat. Pewne nadzieje wiąże się z nowym lekiem zwanym w skrócie AZT; znajduje się on jeszcze w fazie badań klinicznych. Dlatego uważam, że w chwili obecnej ważne, a może najważniejsze są skuteczne akcje profilaktyczne.



Nie walczę z wiatrakami...

Rozmowa ze Zbigniewem Pawlickim-dyrektorem Krajowego Biura Koncertowego

— Instytucji, którą pan kieruje, stuknęło właśnie jedenaste lat, a od naszej ostatniej rozmowy upłynęło sporo czasu. Miał pan wówczas marzenia. Czy je pan zrealizował?

— Gdybyż to zależało ode mnie?... Cieszy mnie jednak wiele zmian. Mam transport! No, może to za mocno powiedziane, gdyż jest to jedna wołga dla przewożenia na koncerty niewielkich grup wykonawczych i jedna nysa dla zespołów kameralnych. Nie jest to optimum, bo brakuje nam jeszcze co najmniej jednego samochodu, który byłby jednocześnie towarowym, byśmy mogli przewozić większe instrumenty, jak chociażby klawesyn, kontrabas, harfę lub większą ilość wiolonczel.

— Przypuszczam, że w związku ze zwiększeniem ruchliwości biura zwiększyła się również liczba koncertów.

— Oczywiście, choć jest to również naturalną konsekwencją rozwoju biura. Na początku, tzn. w 1976, pierwszym roku swej działalności, zorganizowaliśmy tylko około 300 koncertów. Wykonaliśmy więc dziś olbrzymi skok, dochodząc do 1800 rocznie. Nie byłoby to powodem do dumy, gdybyśmy nie dysponowali tak szczerpym lokalem i taką garstką ludzi.

— Przypadam, że za każdym razem, kiedy wspina się po tych schodach, dostają zadyszki.

— A niech pani sobie wyobrazi, że po tych schodach wspinają się także panie Czerny-Stefańska i Regina Smendzianka, IV piętro bez windy w starej kamienicy jest na poziomie dziesiętego mniej więcej szóstego, siódmego. To miejsce, o kilku zaledwie pokłokach, determinuje liczbę koncertów. W tej chwili dysponujemy jedynie trzynastoma organizatorami, którzy muszą „dograć” sprawy, często około 200 koncertów miesięcznie. A przecież to nie jest kwestia wykonania kilku telefonów. Dochodzi sprawa informacji, reklamy, szeregu umów i skomplikowanych rozliczeń. Nie mówiąc o tym, że pracownicy powinni częściej jeździć w teren.

— Jest szansa na poprawę sytuacji?
— Od kilku lat mówi się o jakimś lokalu przeznaczonym dla instytucji muzycznych, ale kto wie, jak to jeszcze długo potrwa. Na razie otrzyma-

liśmy etaty dla pracowników Centrum Informatyki Muzycznej. Chcemy stworzyć taki komputerowy ośrodek dysponujący pełną ewidencją środowiska muzycznego, które, jak wiadomo, jest niezmiernie ruchliwe. Będzie on służył nie tylko nam, ale także dyrektorom filharmonii w całym kraju oraz Pagartowi.

— Tylko, że na razie komputery trzeba by postawić w baraku. Dzielę się, że pozostało w panu jeszcze tyle zapasu.

— Bo ciągle wierzę, że jesteśmy na początku drogi, która prowadzi do stworzenia instytucji stojącej na pewnym gruncie, zwanej przez jednych „drugą filharmonią”, przez innych Filharmonią Rzeczypospolitej, ale takiej, jakiej jeszcze w Polsce nie było.

— Zapędziliśmy się trochę. Bo przecież nie najważniejsza jest instytucja, ale ludzie, którym służy. Z jednej strony, są to artyści — wykonawcy; z drugiej, odbiorcy. Ci pierwsi mogą mieć powody do zadowolenia. Czasem czeka ich satysfakcja zawodowa, częściej finansowa. O drugich mówi się, że wcale nie chcą słuchać muzyki klasycznej.

— Ależ to nieprawda! To sprawa

nieprawidłowej hierarchizacji zjawisk artystycznych. Z wzorców, które pokazują nam, na co dzień środki masowego przekazu, skwapliwie korzystamy. Pamięta pani, że w latach ubiegłych wielkimi wydarzeniami nie były Wratysłavia Cantans czy Konkurs Chopinowski, ale festiwale piosenki w Opolu i w Sopocie. Nie mam nie przeciwko tym imprezom, które mogą i powinny istnieć. I tam mogą zdarzyć się rzeczy, które przejdą do historii, ale dlaczego mamy je traktować jako najważniejsze zjawiska kulturotwórcze.

— Na Węgrzech w konkursie dyrygenckim biorą udział wszyscy telewizjoniści, mają pewien wpływ na nagrody...

— A u nas, popatrzmy tylko na konkurs im. H. Wieniawskiego. Telewizja miała 10 minut na transmisję z II etapu. A koncert finałowy nadawany był równocześnie z jakimś atrakcyjnym filmem.

— Ciepło walczy się tę sprawę, bez żadnych efektów. Mecze piłki nożnej są przeważnie w pierwszym programie, a to drugie nie ma w tym czasie co oglądać. Mówi się, że więcej ludzi interesuje się piłką nożną. A można by otworzyć sytuację. Brak odpowiedniej reklamy muzyki klasycznej zmniejsza zainteresowanie nią ze strony społeczeństwa.

— I tu dotykamy sedna sprawy. Dlaczego ten organizator, od którego zależy wybór imprezy, ma uznać za ważniejszy koncert niż kabaret? Musiałby być istotnie świadomym człowiekiem. I uświadomić także swojej publiczności, że recital nie przeszkadza w pójściu dwa dni później na jakiś wartościowy kabaret. Uważam, że środowisko wiejskie, pozbawione innych możliwości słuchania muzyki „na żywo” jest niezmiernie wartościowym odbiorcą. Chociażby taki Czempin w województwie poznańskim. Nowo odrestaurowany pałac, siedziba PGR: na sali zawsze jest co najmniej 50 osób. Kiedy po konkursie Wieniawskiego jechałem z Poznania do Opolu, po drodze zatrzymałem się na stacji benzynowej. Wcześniej byłem w pobliżu na koncercie we wsi Gultowy. I, proszę sobie wyobrazić, poznał mnie pracownik stacji. Mówił, że koncert mu się bardzo podobał, a żona kilka dni później widziała w telewizji tego pana, który śpiewał u



Fot. Czery Krupa

nich, i ogromnie się cieszyła. I to jest właśnie nobilitacja słuchaczy z Gultowych. Ludzie nie wierzą, że właśnie do nich do takiej dziury, chce się komuś tłuc. Z góry zakładają, że nie może być to ktoś genialny. I przelamanie tego wyobrażenia jest dla mnie w wielu przypadkach wyraźnie widoczne. Chodzi jeszcze o to, by gospodarze tych miejsc mieli świadomość, że to nie jest nie nadzwyczajnego i od nich samych zależy, czy znów w przyszłości będzie możliwe.

— W przeszłości wiele artystów także oglądało do „dziury”. Znam i dzie wiele takich, którzy dla publiczności dążyli się powiesić. Nie ważne są dla nich niewygody, byłaby była atmosfera i ciepłe przyjęcie.

— No właśnie, Krzysztof Jakowicz tłucze się pięć godzin autobusem do Giżycka, żeby grać na łące przed leśniczówką sonaty Bacha, przy akompaniamentem ptaków. A dlatego, że jest to leśniczówka nie byle jaka — Pranie, Galczyńskiego. Ludzie sładają na trawie i słuchają.

— Oprócz sześćdziesięciu jubileuszu dziesięciolecia istnienia biura obchodziliśmy niedawno jeszcze jeden, o mniejszej randze, ale pozostający z nim w ścisłym związku — dziesięciolecie koncertu. Ciekawa jestem, dlaczego dla obchodów tej uroczystej chwili wybraliście Poznań, Warszawę, a zaraz potem Chelm, Włodawę i Puławę?

— Mamy świetną współpracę z Poznańską Filharmonią. Przynajmniej jeden z koncertów rocznie poświęcony jest młodemu solistom, co nam pomaga w ich promowaniu. Tym razem grali tam uczestnicy V Tygodnia Talentów w Tarnowie. W Warszawie ma siedzibę nasze biuro. Co do Chelma, był on jednym z pierwszych miast, gdzie odbywały się nasze koncerty, jeszcze chyba w lutym 1976 r. Dlatego też uważałem za celowe podkreślenie tego kontaktu. Chelmieńskie są bardzo gościnnie; mamy tu jakby trzy sale koncertowe. Myślę o malej kamerallistyce w muzeum, w kaplicy, gdzie chcą zorganizować nawet dwa koncerty w miesiącu. Sala w WDK na większe zespoły. I jest jeszcze sala MPiK. Jak na Chelm, to duże nasycenie. Włodawa jest głodna muzyki i dlatego udaje nam się tu ściągnąć najlepsze zespoły i solistów. Natomiast Puławy dysponują znakomitą salą.

— Czy uważa pan, że dziesięć tysięcy koncertów to dużo, czy mało?

— Na takie pytania zawsze odpowiadam: dużo. I dodaję: dużo za mało. Bo możliwości, jak widzimy, jest znacznie więcej. Trzeba tylko pokonać pewne przeszkody. Nie walczę z wiatrakami.

Rozmawiała: Irena Filus

ANDRZEJ Makowiecki jest prozaikiem o znaczącym dorobku. Wystarczy choćby przypomnieć niektóre tytuły: „Cóż dzień bliżej nieba”, „Kwadrans Śpiącej Królowej”, „Dlonie i pięści” czy „Noc saksofonów”. Pisarz zadebiutował w 1964 r. zbiorem reportaży z Ziemi Zachodnich „Boss”, napisanych wspólnie z Andrzejem Brychtem. Jego piśmiennictwo rozpoczęło się od reportażu przetworzonego następnie w powieść o widocznym zapleczu reporterskim. Pisarz do dziś uprawia reportaż o swoistej poetyce, jednak twórczość prozatorska zajmuje pierwsze miejsce w jego dorobku.

Ostatnio wydana powieść „Nie ma pociągów do Barcelony”, określana jako powieść z kluczem, nazwał Makowiecki w wywiadzie radiowym najdojrzałą ze swoich książek. Zmusza ona do wielu refleksji. Podejmuje tu bowiem autor problem emigracji pisarza i uchodźstwa politycznego. Rozlicza się z bohaterem z marginesu społecznego oraz stylem pisania, na który ogromny wpływ wywarła proza Unilowskiego i Hłaski. Pisarz próbuje określić swoje miejsce w polskiej literaturze współczesnej, stąd przewrotne nazywanie siebie pisarzem pikareskim, autorem powieści lotrzykowskich, których czytelnicy wierzą, że twórca nie różni się niczym od bohaterów własnych książek (odwołanie się do hłaskowskiego „pisać tak, jak się żyje, i żyć tak, jak się pisze”). Makowiecki rozważa także problem pisania książek dla czytelników i tworzenia ambitnej literatury dla krytyków. Zarzuca współczesnej literaturze, że — ogólnie mówiąc — różni się od życia. Pisarz uważa, że nie należy unikać takich tanich chwytów, jak przypadki czy zbliżone okoliczności, bo uatrakcyjniają one akcję powieści. Autor obawia się nudy nie pozwalającej czytelnikowi dotrzeć do końca lektury.

Powieść „Nie ma pociągów do Barcelony” poprzedzona została dedykacją: „Zbigniewowi Unilowskiemu, który był przed wszystkimi, przed Markiem Hłaską, od którego wszyscy byli odwrócony przed Andrzejem Brychtem, który tuła się po bezdrożach świata, i przed innymi”.

Nazwisko Unilowskiego nie znalazło się tu przypadkowo, bowiem Makowiecki jest kontynuatorem nurtu w prozie polskiej zapoczątkowanego przez tego pisarza. Nurtu, za którym podążali po wojnie Hłasko, Brycht, Nowakowski i inni. Unilowski dał bohaterowi wywodzącego się z lumpenproletariatu nie mającego pierwowzoru w polskiej tradycji literackiej. Nobilitował te środowiska,

którymi przedtem nie zajmowała się nasza literatura. Tropem tym poszedł Hłasko, przy czym jego bohater mający ten sam rodowód, wzbogacony o cechy bohatera hemingwayowskiego, należał do „pokolenia straconego” (wojna, okres stalinizmu). Z kolei bohater proponowany przez Brychta to typ plebejskiego inteligenta ze wspomnianym już wcześniej rodowodem, wysyłający się w wulgarno-ewangelickiej polszczyźnie. W twórczości tych pisarzy autor utożsamia się z narratorem, jest aktywnym uczestnikiem relacjonowanych zdarzeń.

Hłasko i Brycht pisarze cieszą się ogromną popularnością w Polsce, pozostali na Zachodzie. Hłasko przedłużył swój pobyt — był to rok 1958 — a potem nie pozwolono mu wrócić. Brycht w 1971 roku zaskoczył wszystkich swoją niespodziewaną decyzją.

Nad mitem Hłaski i Brychta

„Nie ma pociągów do Barcelony” to powieść wielowątkowa o sensacyjnym charakterze. Jej akcja toczy się w Hiszpanii w latach 1979—1980, gdzie bohater powieści a zarazem narrator przebywał na stypendium literackim w Madrycie. Wątek główny rysuje się wokół polskiego pisarza emigracyjnego H.B., który w latach pięćdziesiątych pozostał na Zachodzie, a potem mimo licznych prób z jego strony nie pozwolono mu wrócić do kraju. Narrator w porozumieniu z zainteresowanymi sprawą polskimi władzami czyni próby upodmiotowienia emigracyjnego twórcy powrót do Polski, gdzie mógłby otrzymać godziwe warunki do kontynuowania swej literackiej działalności. Jednak pisarz ma teraz sporo watpliwości, a przy tym boi się biletu w jedną stronę. Na Zachodzie ma ugruntowaną pozycję; są książki, umowy, filmy i pieniądze H.B. jako dojrzały twórca swoją sylwetką jakby przypomina Brychta, lecz są w po-

wieści też tropy wyraźniej wskazujące na biografię Hłaski i losy jego literackich postaci.

Jest w „Nie ma pociągów do Barcelony” jeszcze inna ciekawa osoba zaangażowana w akcję. To Cyngeł, przedstawiciel marginesu społecznego, typ bohatera książek H.B. Zmienił on miejsce działań, gdy wraz ze swoim twórcą opuścił Polskę. I tak Makowiecki każe mu handlować narkotykami i mieszać się w sprawy półświatka madryckiego. W rezultacie Cyngeł ginie, a wraz z nim odchodzi bohater, który zajmował miejsce także i w prozie Makowieckiego. Czy to takie swoiste pożegnanie postaci literackiej, która już nie pojawi się w twórczości pisarza? Pozostał H.B., ta druga połowa niespełnionego życia — chyba Hłaski? — która może wypełnić życiorys innego emigracyjnego twórcy.

Interesującymi fragmentami książki są rozmowy H.B. z narratorem dotyczące emigracji pisarza. Według H.B. ucieczka ludzi o innych zawodach nie budzi takich emocji jak ucieczka pisarza, który „bez odczynu skazany bywa podobno na śmierć artystyczną, na upokorzenia i nędzę”. H.B. twierdzi, że o Polsce nie można pisać żyjąc w niej. Prawdziwą wolność pisania można osiągnąć za granicą, mając dystans do spraw, w których nie bierze się już udziału. I wtedy można swobodnie pisać o polskiej rzeczywistości.

W rozmowach H.B. z narratorem zawarł Makowiecki wiele sądów, nad którymi warto się zastanowić a także i polemizować z nimi, co zostawiam czytelnikom do rozważań w trakcie lektury książki. Jest pewna postać — o bardzo wysokiej pozycji społecznej — która nieodparcie przychodzi na myśl podczas czytania powieści Makowieckiego. To Czesław Miłosz. Właśnie ten polski pisarz emigracyjny w „Ogrodzie Nauk” tak między innymi pisze o twórcach: „zawsze zależeli od tych, którzy sprawują władzę. [...] Zależni w swoich poglądach od społeczeństwa, w którym wyrosli, twórcy nieraz się buntowali...”

„Nie ma pociągów do Barcelony” to pierwsza w twórczości łódzkiego prozaika książka, w której zabiera on głos w tak ważnych dla Polaków sprawach.

Warto ją przeczytać, bowiem — choć w nietypowy i przewrotny sposób — przyczynia się ona do unormalnienia pewnej sytuacji: swobody twórcy w przebywaniu w świecie i powrocie do kraju. Właśnie powrót do kraju powinien być sprawą bardzo zwyczajną. Książka A. Makowieckiego jest także głosem w sprawie Brychta o którego powrocie z emigracji mówi się coraz częściej na łamach gazet.

Elżbieta Sajenczuk

LUBELSZCZYNA eksploduje poezją. wciąż pojawiają się nowe talenty. Czy na miarę Józefa Czechowicza? Nie wiem. Wiem natomiast że jury tegorocznej edycji konkursu imienia J. Czechowicza miało karkołomne zadanie: spośród ponad trzydziestu książek poetyckich opublikowanych w latach 1985-86 wybrać te najlepsze. Ostatecznie po wstępnej selekcji pozostało ponad 10 tomików kandydujących do nagrody. Ponad 10 propozycji dojrzałych, zasługujących na uznanie.

nadkrzeńskich. Bolesna intymność, ale nie tylko. Lyryczność jest tylko zgrzebną cichą twarzą spraw ogólnoludzkich. W wierszu „Porozmawiajmy” autor mówi: „spotkajmy się pod białoczerwonym sztandarem, na placu przed fabryką, po sumie w słoneczną niedzielę, albo tylko — wyjdźmy sobie naprzeciwko”. Oto kilka wersów, które najtrafniej charakteryzują istotę tej poezji: „zawiodłem się przyjaciela, lecz nadal bez wytchnienia poszukuję szczęścia [...] uciekaj, dopóki nie jest za późno, ratuj siebie [...] a

pełni bólu co się układa w nas w rozterki, bo chwile jasne wciąż za górą, a drogi czekają na wykarzowanie”.

I wreszcie trzy nagrody trzeciego stopnia: Paweł Gembal, Wojciech Kiełczewski i Zbigniew Waldemar Okoń. Trzy różne poetyki. Gembal w tomiku „Tak widzę” definiuje świat, odkrywa, ustawia z pozycji „ja-poeta”. Jest to poetycka rzeczowość o silnym zabarwieniu mitologicznym, dywagacje chłodno balansujące między Pulawami a Atenami, Wiedniem a Wenecją, dowódcą rzymskich legionów a Marcinem Lutrem, człowiekiem wstępującym w progi katedry w Kolonii a zarazem wstępującym w siebie, w klujący ciszą ból nieprzeżytych ciemności psychicznych. Czas, strach, byt, mroczna równowaga rzeczy, poezja, historia, dyplomacja — to najczęściej używane rekwiizyty poetyckiego teatryku, ożywianego przez Pawła Gembala.

Tomikiem „Zanim iskra zgaśnie” Wojciech Kiełczewski zaskoczył czytelników, zaskoczył korzystnie. To już nie są te znane z poprzednich tomików małe „lyrycznia”. Nadal penetruje zwyczajne zdarzenia szarego dnia, ale podmiot liryczny dokonuje ogólnoludzkich uogólnień w oparciu o wartości podstawowe: dom, przyjaźń, praca; zaskakuje bolesną szczerością wypowiedzi. Nie wstydi się używać słowa Polska. Nie wstydi się pisać: „leży tu Bartek, spoczywa Misza, Maciek Gawryło, Kuba i Wania” (w wierszu „ballada o brzezynie”). Jakże to rzadki we współczesnej poezji polskiej akt internacjonalistycznej odwagi... Czy wreszcie ten przepiękny zaśpiew wiersza „jesteśmy młodzi”: „jesteśmy młodzi, jesteśmy młodzi, jesteśmy...”

Zbigniew Waldemar Okoń w tomiku „Onieśmianie zmierzchem” nie kokietuje czytelnika nie epatuje nowinkami z literackiej giełdy. Stawia ważne pytania, pochylony w pogodzie ciszy nad dostojnością chleba. Rozmawia z synem wierszami, które „nie nachodzą krytyków i redaktorów, nie milczą i nie krzyczą, żyją z dnia na dzień jak człowiek pracą, są częścią czasu i mnie”. Pozostaje w pamięci wiersz „List do pewnego urzędnika” — świeży, drapieżny, bolesny, a także znamienity wiersz pt. „Pytanie 1980”, z refrenem lat ostatnich: „powiedzieć szczerze, kto jest wrogiem kto przyjacielem”. Okoń to wyraźnie już zarysowująca się osobowość literacka i obywatelska, zasługująca na uznanie za spoiły i konsekwentny światopogląd.

Zakończyć prezentację wypada uklonem w stronę najmłodszych bo debiutów coraz więcej ciekawych debiutów. Za najlepsze uznano: tomik „Kłótnie z lustrem” nastolatki z Międzyrzecza Podlaskiego — **Małgorzaty Śmiełówny** oraz **Krzysztofa Derdowskiego** „Czasowo nie ma wieczności”. Dziesięć debiutów lubelskiej młodzieży stało się faktem, pięć kolejnych w drodze — to liczba i jakość na miarę poetyckiego optymizmu. Lubelszczyzna eksploduje poezją. Nie wiadomo, jak daleko od Lublina słychać te eksplozje. A jeżeli nie słychać, to kogo obwiniać o głuchotę...

Refleksje jurora

Henryk Makarski

Przede wszystkim — **Elżbieta Cichła-Czarniawska** i jej „Uciezka łądów”. Ta poezja to instrument brzmiający najszlachetniejszym dźwiękiem. Jest to najbardziej humanistyczna, ogólnoludzka propozycja dana czytelnikowi, subtelne ostrzeżenie. Autorka śledzi ciepłe kruszyny chleba na lodowisku obrusa, z uporem definiuje człowieka, ze słonecznym bólem troska się o jego kondycję moralną. W wierszu pt. „Zatrzymać się” autorka pisze, że człowiek „zyskując wiedzę, traci równowagę”. Jaka więc jest recepta na życie? Poetka próbuje na to odpowiedzieć w pięknym wierszu pt. „To, co opuszcza nas zbyt szybko”, którzy zaczyna od słów: „i nie pomijaj spraw najdrobniejszych / ziarno piasku, igła sosny, mają tak wiele do ofiarowania / i nie puszczaj mimo uszu śmiechu dziecka, brzęczenia owada, naszczekiwania psa w mroku nocy turkotu oddalających się kół...”. A kończy autorka ten wiersz słowami: „ratuj się, niech życie nie odwraca się do ciebie plecami / odejdziesz posiadzono o tanie sentymenty, ale nigdy samotny / zazdrośni to przeczuwają, dlatego z uporem głoszą chwałę rzeczy wielkich i próżnych, jak wszelkie pojęcia”. Poetka ostrzega: „i patrzcie, jeszcze się człowiek nie połapie, już noc”. Szlachetna to, wiele humanistyczna poezja.

Drugie nagrody: **Henryk Kozak** i **Ryszard Kornacki**. O ile Cichła-Czarniawska gra na wielkiej humanistycznej harfie, o tyle Kozak w tomie „Coraz cięsze lata” dochodzi do tych samych wartości, brzdąkając na kilkunastu zaledwie bałajkach. Kozak jest cały w jaśminach, w podlaskich zamglonych sadach i łąkach

więc, dopóki umiemy zachwycić się zwiewnym lotem sokola, cichym majowym wieczorem za miastem, nad rzeką, kwitnącym sadem, wysmukłą sosną i falującym zbożem — jeszcze nie jest za późno, jeszcze nie jest wszystko stracone [...] jak to dobrze, że chce mi się jeszcze żyć...” Tak, wiersze Kozaka to poezja o człowieku szlachetnym, czystym, czującym zapach świata, który coraz częściej jest trującą chmurą. To poezja o człowieku rozmawiającym ze sobą samym.

Ryszard Kornacki w tomiku „Puszka Pandory” wyraża niepokój o losy ludzkości, lęk przed groźącym jej kataklizmem. W wierszu „wizja” mówi: „zaprzestano wojen i krew krąży tylko w żyłach i arteriach, młodzieńcy obserwują lot ptaka, dziewczyny tkają z kwiatów ślubne zaproszenia, jedynie uparci starcy, chwyląc się swoją mądrością, czyszczą lufy strzelb i nie dają zardzewieć mieczom”. Kornacki lęka się, że „ktoś nieopatrznie może otworzyć puszkę Pandory”, ale jednak mówi w końcu: „pewność mam jedną, krwawych igrzysk nie będzie”. Zwyciężyła wiara w człowieka. Ale wiara to na wyrost, na słowo honoru. Kornacki pisze: „szukam lekarstwa na obojętność, która niszczy i upokarza”. Czytelnika, rozsmakowanego w wierszach Cichli-Czarniawskiej, w jej subtelnościach prawd człowieczych, może razić nieco patos Kornackiego, jego dosłowna szorstkość. Ale to przecież męska poezja. Polecam czytelnikom wiersz pt. „impresja XIV”: „nie drwijmy z siebie pełni fałsu, co się układa w nas jak satyna, bo czas napięcia wciąż odstrasza od obcych twarzy smutnych dłoni, nie drwijmy z siebie

uczestnikiem zjazdu. Podobnie działo się w czasie spotkania z miejscowym aktywem kulturalnym, chociaż ich motywacja mogła być inna. Miałem wtedy ryżą brodę; leć ogolony na palę. Z tym wszystkim wyglądałem najbardziej na jajogłowego. Witając jajogłowych, uszanowano me mnie jajogłowego do kwadratu. Pokochał mnie też inżynier naczelny, ponieważ razem spełnialiśmy toasty bez zagrychy.

Wróciłem do domu i nagle postanowiłem coś o tym napisać, o tych wielkich górach przekopanego piasku. Zrobiło mi się głupio, że wychylałem kieliszki koniaku, którego nie cierpię, z dominującą o tych wszystkich, którzy kopali, budowali i montowali. Kiedy zaś napisałem, podziękowano mi na dodatek oddzielnie. Solidna firma.

Po paru latach znowu wybrałem się w podróż, bo zaprawiał mnie temat zjazdu: „Seks w poezji”. Seks w poezji może być, ale czy trzeba o tym wygłaszać referaty? Kolega mój podniósł rękę do góry i tak wypalił: — Wydaje się nam, że robimy rewolucję seksualną. To się nam może tylko wydawać. W starożytnym Rzymie obnoszono w korowodach trymetrowe onalussy. Wyobraźmy sobie to w czasach współczesnych. Wypada wysokość pierwszego piętra. Takie wymiary przy jednopiętrowym bloku to żadne osiągnięcie. Jak by na to nie patrzeć. Dobrze zatem zмайstrujemy konstrukcję dwudziestopiętrową, która niewątpliwie znacznie góruwać

nad dachami osiedla. I co to będzie? Kolejna rewolucja seksualna? Odmitologizowanie płci?

Dyskusji nie było, bo uczestnicy czekali na atrakcje części nieoficjalnej.

Teraz kolejna impreza bez wąskich ram tematycznych. Poezi przestał już prowokować publiczność, zacnych, znudzonych mydlaków — więc zaczęli prowokować swoich kolegów po fachu. Myślę, że to słuszną drogą. Tak przynajmniej postąpił znany poeta lubelski Spoglądał z niesmakiem, jak koledzy z całego kraju na zjeździe poetów czytają, sylabizują po prostu, dukają swoje wiersze z kartki. Wyglądało to doprawdy byle jak. Szarpnął swoją brodę, wyszedł na estradę i tak zapowiedział:

— Za już w tych karteczkach i szleszczącego papieru. Czas na improwizację!

I zaczął improwizować. W inwokacji odwołał się do miejscowych dziewcząt i prosił, żeby na balkonach zatańczyły kankana, bo właśnie poeci przyjechali.

Koledzy po fachu słuchali tego oburzeni: — Kim on jest? — pytali — Za kogo się uważa, żeby bezczelnie improwizować? Tego przecie od dawna nikt nie robi. To stało się niemodne. Jak tak można? Wstyd po prostu. Czy on nas uważa za durniów?

No i tak to biedni poeci uważający się tylko za fachowców zmuszeni zostali do zgrzytania zębami.

Janusz Olezak

Włodzimierz Słobodnik

Pamięci żony

Słica jedzie, idzie pieszo i się bardzo spieszy, lecz nie ma na niej Loni. Idzie stara kobieta o sylwetce nieco podobnej do jej sylwetki. Lecz nie ma Loni. Moja wielka rozpacz i smutek, że jej nie ma. Czepia się aut, autobusów i tłumów ludzi bez Loni.

SIEROCTWO

Sieroctwo moje i sieroctwo sprzątów, sieroctwo podłóg i sieroctwo firanek i zasłon. Sieroctwo muzyki i instrumentów muzycznych, sieroctwo śniegów i kwiatów wiosennych, sieroctwo tęczy i deszczów — to jest śmierć mojej Loni.

Pięćdziesiąt cztery lata żyliśmy ze sobą, Loni, pięćdziesiąt cztery lata, pięćdziesiąt cztery jednodniowe motyle, a teraz po mojej śmierci będziemy żyć ze sobą całą wieczność.



Eleonora Słobodnikowca (1901-1986)

LONI

Ty jesteś strumień albo czysty wiosenny deszcz albo modra cisza nocy wiosennej, albo nadejściem czegoś nagłego i nieoczekiwanego jak światło dla ślepeca. Ty jesteś pradawnością: Judytą, Kleopatry i Moną Lizą, albo różą w doniczce. Ty jesteś Wszystkim, kiedy Ciebie nie ma.

EGZAMIN

Prośbę wszystkich o pozostawienie pegazowych skrzydeł to szatni
Intelektualisci mają sprawdzian praktyczny
z wiedzy o ciepłości ziemi po deszczu
i z egzystencjalnych aspektów rdzu maszyn
Rob. tniecy mają praktyczny sprawdzian
z pracy przy logarytmach i hagiografii
z przetwarzania gnozeologii na części zamienne
Chłop teoretycznie
o uprawie zbóż metodą Prousta i Schopenhauera
polowca młodego bydła na jeden hektar poezji

REALIZACJA

Miała być genialną skrzypaczką
teraz na strunach
igiel i szydełek
gra bawelniane scherza
plócienne mazurki

Miał być astronomem
teraz krawieckim centymetrem
odmierza odległości
między biustem gwiazdy
a jej biodrem

Miało być cztowieczo
teraz każdy przygląda grzebieniem zielone różki
a smętny ogon żółcieje w stołcu

ELFY.

Drżą trzciny jego palców
nad suchym jeziorom
brzęczące niebo skrzydłuje przez moment
i wpada mu do oka
wciiera w nie zapłakany błękit

A to nadeptnie cieniowi na nogę
A to uczenie spocone zboże
jakoże niesforne na jego skroni
A to przepolowi mój garb skrzydłami
A to wlecimy ku żarówce
malutki Deda i karzyca
sprzątaczką pogrzebie nas nazajutrz
między miotłą i śmietniczką

„Wieczny” doktor prosi o czas!

Dokończenie ze str. 1

wym nieszczęściem stało się także, uwarunkowane „wyższą koniecznością” zniesienie po 1968 roku rotacji średnich kadr naukowych. To właśnie wówczas powstał w efekcie system docentów „mianowanych” zatrudnianych na tym stanowisku bez spełnienia odpowiednich warunków naukowych, nie bez przyklejenia się do tej grupy jednostek z czysto społecznego awansu. Stąd obserwowane w latach siedemdziesiątych gwałtowne obniżenie się autorytetu tego stopnia naukowego, widoczne choćby w kabaretowych żartach typu: „docent podaj cegłę” czy „docent nie podbieraj mi truska-tek”.

Zjawiskiem równoległym stała się przy tym gwałtowna erupcja doktoratów, związana ze wzmożonymi inwestycjami z tamtych lat (masowe powoływanie nowych uczelni), oraz „automatyzowany” system studiów doktoranckich i tym podobnych. Z tego okresu pochodzi także analogiczna fala studentów zaoecznych, których pierwsze roczniki „bywały na ogół dobre, następne zaś po wyjąłowaniu się terenu, nad wyraz mizerne. Wówczas, jak wiadomo planowaliśmy jednak wszystko na wyrost i obecnie zbieramy tego owoce. Owe gwałtowne „napuchnięcie” uczelni średnią obsadą naukową jest przecież także jedną z pochodnych tamtej polityki.

Cała wspomniana powyżej sytuacja przechodziła z kolei (co jest rzeczą naturalną) na uniwersytecką „masę” czyli studentów gdyż jak słusznie zauważył w rozmowie ze mną jeden z profesorów, „u nas otrzymanie indeksu było równoznaczne z uzyskaniem szlacheckiego patentu. Niemal dożywno zapewniano przywileje, a studia musiał skończyć każdy”.

Tak było

Nie zatem dziwnego, że nowa ustawa o szkolnictwie wyższym wzbudziła, z jednej strony, generalną aprobatę reformatorsko zorientowanych środowisk naukowych, z drugiej zaś, wywołała burzę wśród zwolenników błędnego zasiedzenia i bezwładnej inercji. Nie jest to jeszcze z pewnością ustawa idealna (czy takie w ogóle istnieją?), stanowi jednak między innymi pierwszą poważną od lat próbę uaktywnienia działalności twórczej wyższych uczelni i usunięcia z nich balastu w postaci tym razem już „wiecznych” doktorów i docentów. Tu bowiem tkwi jedna z przyczyn uczelnianego zła, choć jego implikacje są nader szerokie. (Do 1990 roku ministerstwo zakłada wymianę około 30 proc. kadry naukowej).

Ustawa o szkolnictwie wyższym z 11 września 1985 roku reguluje rytmiczność sięgania po stopnie naukowe. Artykuł 164 paragraf 4 głosi: „Łączny okres zatrudnienia na stanowiskach asystenta i starszego asystenta nie może przekraczać ośmiu lat”. W kwestii zaś najbardziej nas tu interesującej ustawa stanowi w tym samym artykule, paragraf 5: „Mianowanie na stanowisko adiunkta następuje na okres trzech lat i może być odnowione dwukrotnie na następne okresy trzyletnie”. Ma więc obecnie doktor maksimum dziewięć lat na „zrobienie” habilitacji.

Ustawa wszakże to jedno, jej realizacja zaś to zagadnienie drugie. Zależy ona będzie od samych uczelni, od stopnia zaangażowania się jej aktywnie w przeprowadzenie teoretycznych założeń. Tymczasem z całą stanowczością trzeba stwierdzić, że w większości szkół wyższych pierwszy etap weryfikacji stanowisk przeprowadzony mniej więcej przed rokiem, wypadł kompromitująco mizernie i przyniósł efekty nader znikome. Przykładowo, na UMCS podziękowano za pracę pięciu osobom, na Akademii Medycznej — dwudziestu, a na Politechnice Lubelskiej — trzem. Tę rundę wygrali zdecydowanie „wieczni” doktorzy i to nie tylko w lubelskim środowisku akademickim.

Jak do tego doszło?

Indagowani przeze mnie w tej sprawie rektorzy i prorektorzy UMCS, Akademii Medycznej i Politechniki Lubelskiej, podkreślając konieczność zakładanych zmian, wskazywali jednocześnie na związane z tą operacją szerokie pochodne natury

humanitarnej, materialnej i środowiskowej. Podnoszono fakt dużego doświadczenia dydaktycznego zagrożonych redukcją adiunktów, konieczność stworzenia im honorowych warunków odejścia, wiek już przedemerytalny większości z nich, obiektywne trudności zewnętrzne, jak choćby przypisanie do miejsca zamieszkania, czy cały zespół zagadnień rodzinnych. Nie pomijano także braków w aparaturze doświadczalnej i niedostatków poligrafii jako czynników decydujących o zmniejszonej aktywności twórczej. To prawdy obiektywne. Wypowiedzi te odkrywały jednak zarysowany uprzednio obraz zaniedbań ze strony uczelni, które same doprowadziły do powikłania się całej sprawy. Na dzień dzisiejszy zagadnienie to w istocie obróciło szeregiem trudnych do przewyżczenia uwarunkowań. Narzuca się tu pytanie czy potrzeba było aż ustawy by wznieść popioły i uświadomić coś, co powinno być od początku oczywiste? Część odpowiedzi już znaleźliśmy.

Poważną przeszkodą w uregulowaniu kwestii zatrudnienia stał się także nieprawdziwy obraz rzeczywistości, jaki zaferowały komisjom weryfikacyjnym poszczególne jednostki uczelniane. Z zakładów spływały ankiety określające większość pracowników teraźniejszymi „wybitny” czy „bardzo uzdolniony”, a kolejne stopnie w zaproponowanej skali ocen ustalano dla całych wydziałów „statystycznie”. Zadziałała tu więc nasza przedziwna nieumiejętność, a raczej niechęć do wystawiania ludziom uczelnianym ocen, tendencja do sporządzania „laurek” zasadna jakoby w państwie opiekuńczym, gdzie usunięcie każdego nieroba ma być zapewne problemem społecznym. Dyrektorzy Instytutów chętnie kreują także własny „miłosierny” wizerunek, spychając najczęściej odpowiedzialność za „krzywdę” na „sily anonimowe i odległe. Obawiam się, że podobne problemy towarzyszą atestacji stanowisk w całej naszej gospodarce.

W takiej sytuacji podstawową rzeczą staje się uświadomienie sobie nadrzędnej zasady: jeśli nasza nauka ma ruszyć do przodu w tempie godnym współczesności, jeśli ma w sposób istotny wesprzeć nurt reformatorski w gospodarce, nie może pozwolić sobie dalej na okupowanie twórczych naukowych etatów przez ludzi nieudolnych, leniwych, pozbawionych ambicji i energii. I tylko to jest ważne. Cały kompleks zagadnień ubocznych należy odłożyć do systemowej realizacji w terminie późniejszym. Na stanowisku twardej linii w stosowaniu zasad ustawy stoi Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, a także generalnie cały rząd. Owe zastosowane w większości uczelni polskich przedłużenie adiunktów kontraktów na dalsze trzy lata jest więc jedynie zepchnięciem problemu w przyszłość, bezproduktywnym przeniesieniem go w czasie. Nie oznacza to przy tym zamknięcia oczu na skalę problemu, ani na oczywistą prawdę, że nie zawsze odpowiedzialność za aktualną sytuację spada na adiunktów.

Zdaje się jednak, że trudności w przeprowadzeniu rotacji są w dużej mierze przesadzone i zdemontowane przez zachowawcze podejście do „sprawy”. Już choćby sytuacja na uczelniach prowadzących, obok naukowej, działalność usługową (jak akademie medyczne, politechniki, akademie rolnicze) stwarza ogromne i szerokie możliwości przeszerogowania niesprawdzających się naukowców w praktyczne dziedziny działań. Mówił o tym profesor Kleinrok, rektor Akademii Medycznej w Lublinie: „W porównaniu z uniwersytetami mamy w dużym stopniu ułatwione zadanie w rozwiązywaniu tego problemu. Zdolny chirurg z doktoratem, nie wykazujący dalszego zainteresowania pracą ściśle naukową, może być, i bywa, kierowany na przykład na ordynatora do szpitali terenowych, co jest już pewnym udrożnieniem przepływu kadr”.

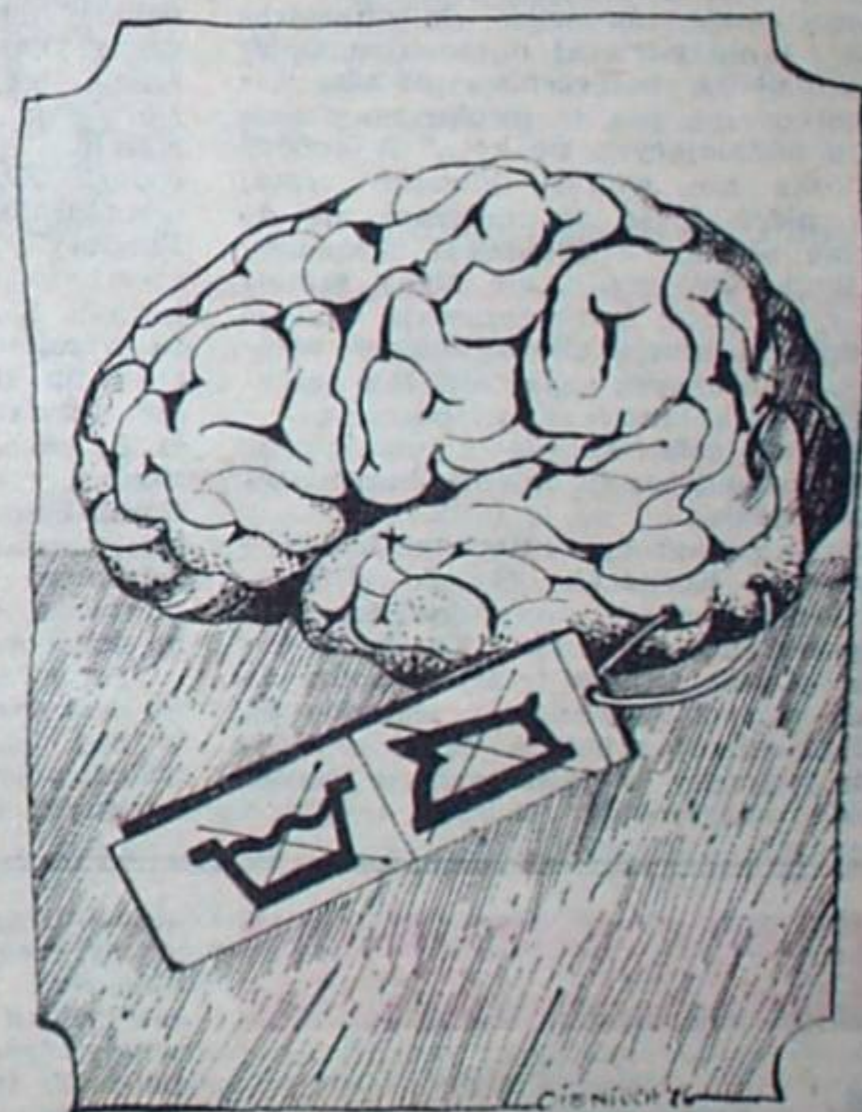
Doświadczonej kadry technicznej poszukuje przemysł, laboratoria badawcze, analityczne, instytuty wspomagające gospodarkę, a wreszcie, acz z krygowaniem się, akceptują ją szkoły. Można przecież założyć, że ludzie, którzy nie sprawdzili się w działalności naukowej, okazali się jednak np. dobrymi dydaktykami i szybko staną się pożytecznymi pracownikami w innych obszarach zawodowych. Podnoszona u nas wielokrotnie dumna wierność firmie i stanowisku pracy nie zawsze jest oznaką postępu.

Konieczność decyzji odważnych i radykalnych jest tu poza dyskusją. Czas upływa nieubłaganie i im dłużej będą uczelnie przeciągać proces atestacji swoich kadr tym szybciej będziemy tracić dystans do światła i czółówek, a rzesze naprawdę zdolnej młodzieży będą trafiały do urzędów gminnych i ciemni fotograficznych. Obecna sytuacja nie sprzyja bowiem między innymi tworzeniu zdrowych relacji na rynku pracy, powoduje często za-

trudnienie niezgodne z kwalifikacjami, hamuje odruchy i mechanizmy animujące do podnoszenia zawodowych umiejętności.

Litowanie się nad „zadekowanymi” w nauce amatorami dużej ilości wolnego czasu, swobody zawodowej i k-repetycji wspierających wydatnie domowy budżet nie jest wcale dowodem na humanizm. „Obrona” musi obejmować jedynie przypadki gdzie zawiniły błędy systemowe. Nie chodzi wszakże o polowanie na czarownicę, lecz o uczciwą selekcję. Profesor dr hab. Jerzy Szczypa, prorektor UMCS do spraw nauki powiedział: „Realizacja ustawy zależy od profesury i nikt z niej tego obowiązku nie zdejmie. Musimy wytworzyć w ludziach poczucie niepokoju, zagrożenia, braku gwarancji, przy braku chęci. Dzisiaj adiunkci na wydziałach nie rozmawiają o swoich problemach badawczych. Żyją awansem”.

Nie zamykając oczu na zagadnienia ludzkie, dalsze zwlekanie z odciepieniem od nauki pozbawionego twórczych walorów „balastu” grozi katastrofą. Wielu zagrożonych ma na swoją obronę rozmaite argumenty; część tych argumentów jest nawet obiektywnie zasadna i prawdziwa, ale bez tego pierwszego bolesnego cięcia nie ma szans na dalsze konstruktywne działania. O dziwo przyznało to wielu spośród moich doktorskich rozmówców. Niemala wszakże część naukowych „nieudaczników” liczy w cichości, że po przeżyciu tyłu już systemowych reform przeżyje i tę obecną. Pierwszy etap weryfikacji wcale tych nadziei nie rozwiał!



Rys. Zbigniew Cieniuch

Prawdy oczywiste przebijają się dziwnie opornie do powszechnej świadomości. Podobnie jak w przypadku reformy gospodarczej, również atestacja uniwersyteckich etatów pozostaje niewspółmierną do dynamicznych założeń, rozmiąta się z zakładaną teorią, ginie w kociokwiku ścierających się racji, argumentów i kontrargumentów. Od chwili wejścia w życie ustawy minęły już niemal dwa lata. Jej realizacja nie posunęła się ani o krok do przodu. Nadal pozostała w sferze teoretycznych rozważań. Tymczasem alternatywnej drogi do poruszenia polskiej nauki nie ma. Nie wiem, czy cała operacja nie zakończy się w konsekwencji także instrumentalnym nakazem zawodowej weryfikacji kadr najwyższych. Takie są bowiem prawa ekonomii; mając małe względy dla sentymentów, zostawiają, niestety i niewiele miejsca na dobroduszny patriarchyzm.

Wiesław Horabik

PS. W tekście zamieszczono dane różniące się nieco od przedstawionych w podejmującym podobny problematykę artykule Waldemara Piaseckiego „Polowanie na adiunkta” („Sztandar Ludu — Magazyn Tygodniowy” 11—12.04.87). Dane takie uzyskałem jednak od rektorów zainteresowanych uczelni.

W. H.

Złoto i srebro FON

Dokończenie ze str. 1

unowocześnienie armii świadczyło też samorzutnie społeczeństwo, składające w ciągu ostatnich trzech lat przed wybuchem II wojny światowej liczne i częstokroć bardzo cenne dary; obok pieniędzy, także złote i srebrne przedmioty osobistego użytku; ślubne obrączki, złote zegarki, pierścionki, papierośnice, również srebrne zastawy stołowe, dzieła sztuki złotniczej (kandelabry i świeczniki), a niejednokrotnie nawet klejnoty. Niezależnie od wartości finansowej były to przede wszystkim „dary serca”, świadectwo ogromnego patriotyzmu ludzi, którzy nie raz wyzwalali się na rzecz FON swoich pamiątek rodzinnych, często jedynych wartościowych przedmiotów, jakie posiadali. W ten oto sposób z darów społeczeństwa na Fundusz Obrony Narodowej zgromadzony został t.w. „skarby FON”.

Funduszem Obrony Narodowej zarządza minister spraw wojskowych. Jeśli chodzi o dary nadchodzące od społeczeństwa, to gotówkę lokowano w bankach, natomiast cenne przedmioty i papiery wartościowe składano na razie do depozytu. Były one umieszczone w magazynach Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie, a także m.in. w ośmiu skrytkach bankowych PKO.

Pierwszą niewielką partię „skarbow FON” wywieziono z Warszawy już 4 września 1939 r. Ale główny transport złota, srebra i pieniędzy z depozytów wyruszył, załadowany na dwie ciężarówki, następnego dnia, przyłączony do kolumny ewakuującej złoto i pracowników Banku Polskiego. Kolumna ta rankiem 6 września przybyła do Lublina. Jednak 7 września wieczorem, z uwagi na niepokojące zmiany na froncie, wyruszyła w dalszą drogę, na wschód, do Łucka. „Skarby FON” pozostały natomiast w Lublinie, w gmachu oddziału Banku Polskiego, aż do 8 września. Wtedy to, po wielkim niemieckim nalocie na Lublin i bombardowaniu, które spowodowało zburzenie wielu domów i śmierć wielu mieszkańców miasta, kierujący transportem FON pułkownik Grossek (który tego akurat dnia znajdował się w Krasnymstawie) przybył pędem z dwoma oficerami z kolumny ewakuującej przez niego biura FON — kpt. Jerzym Wyrzykowskim i kpt. Stefanem Olszewskim — do Lublina i wydał rozkaz natychmiastowego przewiezienia „skarbow FON” do Lwowa. Dwie ciężarówki, eskortowane przez czterech żandarmów oraz samochód pułkownika Grosseka, dotarły bez przeszkód do Lwowa 9 września.

Właśnie tego samego dnia dyrekcja Banku Polskiego w Łucku podjęła dramatyczną decyzję wywiezienia ponad osiemdziesięciu ton polskiego złota za granicę, przez Rumunię do Francji. Kiedy „złoty pociąg” pędził przez Rumunię, a następnie polskie złoto podróżowało statkiem „Eocene”

przez Morze Czarne do Bosforu, „skarby FON” wciąż jeszcze znajdowały się na polskiej ziemi...

Ledwie transport pułkownika Gosseka pojawił się we Lwowie, a już okazało się, że trzeba jechać dalej, bo niemieckie sily pancerne zagrażają miastu. Po południu 9 września wyruszone więc do Tarnopola. Tam „skarby FON” przeleżały w miejscowym banku spokojnie przez kilka dni, tam też ptk Grossek odebrał tę część ceków, walut obcych i złota FON, która została wywieziona z Warszawy 4 września i przywieziona do Tarnopola inną drogą. Ale już 14 września przyszedł rozkaz przeniesienia „skarbow” do Horodenki. A tam 16 września pojawił się pułkownik Henryk Floyar-Rajchman i przedstawiając specjalny dokument wydany przez Szefa Administracji Armii, generała Litwinowicza, objął kierownictwo transportu, który miał doprowadzić „w bezpieczne miejsce”.

Wbrew temu, co pisze Zygmunt Karpiński (jeden z dyrektorów Banku Polskiego) w obszernej pracy „Losy złota polskiego podczas II wojny światowej” („Najnowsze dzieje Polski” t. I, 1957 r.), a powtarza za nim Zygmunt Zimoń na łamach lubelskiego „Sztandar Ludu” (notabene przekraczając nazwisko pułkownika na: Flogar-Rejman) ptk Floyar-Rajchman nie przekroczył wraz ze „złotym pociągiem” Banku Polskiego granicy polsko-rumuńskiej. W dalszą drogę pojechał na czele transportu złota z Banku Polskiego jedynie ptk Ignacy Matuzewski. Natomiast ptk Floyar-Rajchman, wypełniwszy swoje zadanie, skierował się do Tarnopola. Chciał stamtąd udać się do Lwowa, do gen. Sosnkowskiego, aby prosić go o przydział linii. Jednak w Tarnopolu otrzymał od gen. Litwinowicza rozkaz natychmiastowego wyjazdu do Horodenki i zajęcia się transportem FON. To właśnie dzięki jego przedsiębiorczości oraz zdecydowaniu załadowane na dwie ciężarówki „skarby” zostały niemal w ostatniej chwili, unikając szczęśliwie bomb zrzuconych z niemieckich samolotów, dojechać przez zbombardowany Sniatyn do Kut i tam późnym wieczorem 17 września przekroczyły granicę.

Rankiem 18 września mała kolumna samochodowa dowodzona przez ptk. Floyar-Rajchmana była już w Czerniowcach, gdzie została „zaaresztowana” przez rumuńską żandarmerię i odtawiona do jej koszar. W tych samych koszarach znaleźli się ostatni, zapchnięty transport złota Banku Polskiego (70 skrzynek, czyli około 4 ton złotych sztab), zarekwirowanych przez polskie władze wojskowe kilka dni wcześniej w Dubnie z transportu kolejowego, zmierzającego z Brześcia do Sniatynia.

Dzięki interwencji polskiej ambasady w Bukareszcie i obrotności przyslanego stamtąd zastępcy polskiego attache wojskowego, majora Zimnala, udało się wyprowadzić ciężarówki ptk.

Floyar-Rajchmana z czerniowieckich koszar żandarmerii Rankiem 22 września niewielki transport, powiększony jeszcze o pasażerski autobus i eskortowany przez rumuńskich żandarmów, wyruszył w kilkusetkilometrową drogę do stolicy Rumunii Obok ptk. Floyar-Rajchmana siedział były minister oświaty, Wacław Jędrzejewicz, który był teraz z ramienia polskich władz znajdujących się w Rumunii współodpowiedzialny za dostarczenie „skarbow FON” do Francji. Przodem „przeleżał drogę” wśród rumuńskich wojskowych i policyjnych posterunków, gęsto rozstawionych na trasie, major Zimnal. Trzeba powiedzieć, że miał pełne ręce roboty. Właśnie tego dnia bojówka faszystowskiej „Żelaznej Gwardii” zamordowała premiera Calinescu, w kraju panowało niezwykle napięcie i obawa przed politycznym przewrotem. Właściwie tylko dzięki obecności żandarmów siedzących na ciężarówkach udało się Polakom dojechać w końcu do Bukaresztu. Za ciężarówkami prowadzonymi przez mjr. Zimnala wyruszył także, ale nieco później, dużo wolniej poruszający się transport wiozący cztery tony złota Banku Polskiego. Miał on notabene wkrótce utknąć w Bukareszcie „internowany” na ponad siedem lat w skarbcu Banku Rumunii.

Po trwającej niespełna dwie doby podróży ciężarówki oraz autobus ze „skarbami FON” dotarły do Bukaresztu; o drugiej nad ranem 24 września wjechały na dziedziniec polskiej ambasady.

To nie był jednak koniec kłopotów. Rano Rumuni „zaaresztowali” samochody — mimo iż znajdowały się „na terenie Rzeczypospolitej” — i wyprowadzili poza ambasadę. Ostry protest dyplomatyczny, poparty (jak podkreśla Wacław Jędrzejewicz w opublikowanych w 1962 r. we Francji wspomnieniach) odpowiednią kwotą pieniężną wręczoną „komu trzeba”, sprawił, że następnego dnia ciężarówki wraz z nietkniętą zawartością zostały zwrócone.

Dopiero w polskiej ambasadzie w Bukareszcie przyszedł czas na dokładne rozeznanie, co oraz ile z wartości składających się na „skarby FON” zdołano ocalić i dowieźć z Warszawy do stolicy Rumunii. Przez szereg dni w piwnicach ambasady specjalnie powołana komisja, w której skład wchodził, oczywiście ptk Floyar-Rajchman i Wacław Jędrzejewicz, segregowała i inwentaryzowała zawartość przybyłego z Polski ładunku. Okazało się, że cały ładunek składał się z 83 skrzyń i paczek oraz z 28 worków — z przedmiotami wartościowymi, walutą obcą, pieniędzmi i wartościowymi papierami — a także dwóch skrzyń wypełnionych aktami FON. Notabene do ambasady trafiła również — ale już nie w składzie transportu prowadzonego przez ptk Floyar-Rajchmana — skrzynia z Muzeum Belwederskiego zawierająca rękopisy prac marszałka Piłsudskiego, jego szable oraz mundur.

W końcu „skarby FON” podzielono na trzy części. Pierwszą (składającą się z około 192 kilogramów przedmiotów ze złota, złotych monet oraz 14 tysięcy dolarów) postanowiono jak najszybciej przesać do Paryża. Druga (srebra wagi około 2400 kg) miała być sprzedana

przez ambasadę, a pieniądze uzyskane ze sprzedaży postawione do dyspozycji urzędującego już w Paryżu nowego prezydenta Rzeczypospolitej Władysława Raczkiewicza. Trzecia część (papiery wartościowe, książeczki oszczędnościowe PKO z wkładami pieniężnymi ofiarodawców, już na obczyźnie nieaktualnymi) zdecydowano się spalić.

Złoto, rozłożone na dziesięć „porcji”, miało się przedostać przy życzliwej pomocy francuskiej ambasady; w sposób nie całkiem zresztą „formalny” do Paryża. Wykonano jedenaście drewnianych skrzynek, z których każda mogła pomieścić 20 do 28 kilogramów złota. Cztery pierwsze skrzynki zawierały złoty złom; piąta i szósta wypełnione były złotymi zegarkami; siódma — złotą biżuterią, często wysadzana szlachetnymi kamieniami; ósma — złotymi monetami różnego rodzaju i wartości; w dziewiątej pomieściły się waluty obce i czek bankowe. Skrzynka dziesiąta zawierała dwadzieścia kilogramów złotych monet o wartości numizmatycznej; podobnie numizmatycznymi złotymi była wypełniona skrzynka jedenasta. Skrzynki te, odpowiednio zapakowane zabierali z sobą kursujący między Bukaresztem i Paryżem francuscy kurjerzy dyplomatyczni, nawet francuscy oficerowie przewożący je w swych samochodach lub koleją. W ten sposób całe złoto ze „skarbow FON” dość szybko znalazło się w Paryżu.

Pozostawała sprawa srebra. Ostatecznie, wbrew początkowym zamierzeniom, zdecydowano się znaczną jego część także przetransportować do Francji. Wacław Jędrzejewicz pisze, że w 61 skrzyniach pomieszczono około 600 kg srebra „nadającego się do użytku”, oraz 535 kg złomu srebra. Transport miał się odbyć drogą morską.

13 stycznia 1940 r. rumuński statek handlowy „Suceava”, posiadający także kilkanaście kabin pasażerskich, wyruszył z portu w Konstancy w drogę do Marsylii. Złożone w rufowej ładowni skrzynie ze srebrem „zamaskowano”, przywalając je górą worków z fasolą. Pilnowali transportu na „Suceavie” ptk Floyar-Rajchman i Wacław Jędrzejewicz.

Statek włókł się niezwykle wolno. W Pireusie stał dwa dni (tam ptk Floyar-Rajchman wsiadł do samolotu i przez Rzym poleciał do Paryża, aby przygotować odbiór srebra w Marsylii), potem przez Smyrnę i przez port na Malcie dotarł do Salerno we Włoszech, gdzie z kolei tkwił niespełna tydzień. Aż wreszcie 5 lutego 1940 r. przycumował do nabrzeża portowego w Marsylii.

Morska podróż polskiego srebra z Konstancy do Marsylii trwała w sumie aż 24 dni! Ale nie wydaje się ona długą wobec faktu, że złożony 13 lutego 1940 r. w marsylskim Banku Francji „srebrny ładunek” miał wrócić do Polski dopiero za kilkadziesiąt lat.

W tym względzie złoto Banku Polskiego — choć odbyło znacznie dłuższą, bardziej okrutną i obfitującą w liczniejsze przygody podróż — miało znacznie więcej szczęścia. Bo powróciło do kraju już w 1947 roku.

Mirosław Derecki

WLICZĄCYM ponad 350 tysięcy mieszkańców Lublinie Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania ma do „obrotu” 247 ha ulic, placów oraz części chodników i schodów łączących osiedla z ulicami. Sprzątanie miasta, jak wiemy, odbywa się najczęściej poza godzinami nasilonego ruchu ulicznego, więc nocą. Wtedy obmiera się i polewa nawierzchnie opróżniona uliczne kosze. I wtedy też okazuje się, do czego te kosze mogą być ludzkom potrzebne: do zatykania dziur w jezdni, do przewracania, do stawiania — ot, tak, dla zabawy — na zadacheniach przystanków MPK, od wynoszenia na własne działki. Natomiast rzadko — do wrzucania do nich śmieci i odpadków. Kiedy podjeżdża trolejbus pety jęca na chodniku. Znak zniecierpliwienia, posprecnu, rachiujstwa.

Ktoś zauważył, że uliczne zamiatarki śmiecia. Taka to już ich krajowa konstrukcja. Wystarczy mała nierówność nawierzchni, a szczołki nie biorą albo nie pochłania dysza. Sprzątnę ten jest przestarzały i wysłużony, a na lepszy, szwedzkiej produkcji, długo nas jeszcze nie będzie stać. Cieszy wzbogacenie MFO o nową czeska zmywarkę, choć test ona tylko jedna.

Clagle brak dużych i małych pojemników na śmieci. MPO „realizuje” dopiero ubiegłoroczną dostawę: z 3 tysięcy zamówionych pojemników otrzymuje 1100. W minionym roku było gorzej: z 1100 zamówionych odebrano tylko 300, bagatelnie. Producentami tych deficytowych pojemników są zakłady we Wrocławiu, Dębnie koło Szczecina i Malomiech. Zapewne znów brakuje blachy? A gdyby te pojemniki produkować, tak jak na Węgrzech, z mas plastycznych? Nie ta „receptura”, nie ten klimat. W naszych zmiennych temperaturach pojemniki z tworzyw sztucznych łamią się i pękają.

MPO zaproponowało — szczególnie prywatnym posesjonatom — skorzystanie z worków foliowych (30 złotych za wywóz takowego). Latwo to i bardzo higieniczny sposób pozbywania się śmieci, jednakże nie znalazł się prawie żaden chętny. Tu się nasuwa przykład z innych krajów, gdzie wszystkie śmieci i odpady składają się w mniejsze, większe i ogromne worki foliowe i dopiero w takim stanie wrzuca do pojemników.

My — lubimy luzem. Nie fatygujemy się nawet zbytnio, by z odpadków oddzielić

chleb, butelki, makulaturę. Z dziwnie niepojętym wstrętem patrzymy, jak robia to za nas pracownicy brygady MPO (co poniekąd przy zardroszcza im domniemyanych zysków). A ileż to można „dostać rarytasów” w zamian za kwity z punktów skupu makulatury? W Domu Handlowym w takich np. Piaskach w dziale „sprzedaż za surowce wtórne” są tylko chustki do nosa i kuchenne ręczawki...

Pokaż mi, jak śmieciarz, a powiem ci, kim jesteś? Śmieciarkowa psychologia naszych nawioków, niedbałość, marnotrawstwa, żeby nie powiedzieć i kultury. Pójdźmy na pierwsze lepsze skrzyżowanie i przewoź kruszywa budowlanego, ziarna, nawozów i czegoś tam jeszcze luzem. Zupelna beztroška. Trochę się wykruszyło, wywiałło, spadło, no to co? Nie ubędzie. Foliowe worki na śmieci, wprowadzone w Warszawie tytułem eksperymentu elegancji wzięły na... zakupy.

Z Lublina wywieźć trzeba zawartość około 4 tysięcy pojemników prywatnych i pań-

stwowych, opróżnić 2600 szamb. Śmieciarki śmieciarkowi nie jest jednak równy. Wśród nich, owszem, zdarzają się takie z dobrym dojrzaniem i dostępem dla ludzi i dla wozów, tak, że można pojemniki bezkolizyjnie wytoczyć i postawić na miejscu. Na niektórych jednak osiedlach śmieciarki ustawiono elegancko, dyskretnie, ale niedostępnie! Między innymi mam tu na myśli sławne „altany śmieciarkowe” na osiedlu Łęgi na Czubach, niektóre śmieciarki na osiedlu im. Mickiewicza, na Starym Mieście. Droga toczenia pojemników wynosi

nawet i 80 metrów, nie licząc takich przeszkód, jak schodki, spadki, ostony. Podobno Urząd Wojewódzki zlecił uzgodnienie lokalizacji i konstrukcji śmieciarkowej administracjom osiedli z MPO. Do tej pory, na mocy owego polecenia MPO dane było skonsultowanie tylko jednego śmieciarkownika przy szkole! Przeprojektowanie śmieciarkowników i ich przebudowa idzie dość opornie, przede wszystkim ze względu na koszty przedsięwzięcia.

Mało jest też chętnych to pracy w MPO. Plaće są mniej konkurencyjne niż w innych firmach, a praca, szczególnie nocą, zmianowa, prowadzona w różnych warunkach atmosferycznych, ciężka i nieprzyjemna. W innych krajach oczyszczanie miasta należy do najłatwiejszych prac, ba, nawet ekskluzywnych, zastrzeżonych dla tużemców...

W lubelskim MPO ładowacze, a więc ci, którzy pracują na najtrudniejszych odcinkach oczyszczania miasta zarabiają przeciętnie 17 tys. złotych. Trochę więcej zarabia, trochę lepiej, gdy pracują na skord.

Nie na tyle jednak, by nie dać się skusić ofertom z innych przedsiębiorstw i firm. Uciekają więc, MPO musi się ratować kadrami nie zawsze zdyscyplinowaną, solidną i fachową. Bywają tacy pracownicy, którzy pobiorą z magazynu ochronną odzież i obuwie i tyle ich widać. Szczególnie szkoda, gdy odchodzą ci najbardziej doświadczeni. Ostatnio na 40 dobrych kierowników przegrywano aż pięciu z pracy w przedsiębiorstwie.

Zapytałam o tych długoletnich pracowników. Należą do nich Józef Czubacki, Czesław Bartuzi (ładowacze), Henryk Kotyra, Ryszard Czarnota, Remigiusz Kukielka, Władysław Migryd, Tadeusz Gajowiak i Jan Mamcarz — kierowcy. Ten ostatni przyszedł do pracy jako kowal. Teraz dobiega mu już dziesięć rok na nocnej zmianie w MPO. Jedzi z brygadą, które opróżnia uliczne kosze. Jana Mamcarza udało mi się poznać. Mówił o minionej zimie, pękających ładowaczach, przewodach olejowych, odmrożonych rękach kolegów nakreconych po ulicach miasta w ciągu nocy 300 km z pługiem śnieżnym. W wolnej chwili Jan Mamcarz pisze: jest członkiem Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Drukował już w „Głosie PSC” i dwutygodniku „Twórczość Robotnicza”. Na dalsze publikacje swoich wierszy czeka w „Sztandarze Ludu”. Ma tam, jak mówi, swoją kolejkę. W wierszach zaświadcza o wartości pracy, którą on i jego koledzy wykonują.

Marta Denys

O Kozakach zaporoskich

DO dziś dzieje Ukrainy i Kozaczyzny budzą żywe zainteresowanie. Niedawno ukazały się dwie niezwykle interesujące książki poświęcone tej problematyce. Jedną autorką jest Linda Gordon, profesor Uniwersytetu Stanu Massachusetts w Bostonie, a praca dotyczy pierwszych powstań kozackich w Rzeczypospolitej („Cossak Rebellions”); drugą napisał krakowski uczonec Władysław A. Serczyk („Na dalekiej Ukrainie. Dzieje Kozaczyzny do 1648 roku”).

Książka Władysława A. Serczyka warta jest bliższego poznania. Cel i zamierzenia autorskie lepiej tłumaczy podtytuł pracy, chodzi o wyjaśnienie roli Kozaczyzny w dziejach Ukrainy. Z tego dużego zamierzenia przedstawia autor tom I, obejmujący okres do 1648 r., do wybuchu powstania na Ukrainie pod wodzą Bohdana Chmielnickiego, które wstrząsnęło gmachem Rzeczypospolitej. W niedługim czasie zapewne otrzymamy tom II, który opowie dzieje wojen polsko-kozackich znaczących Żółtymi Wodami, Korsuniem, Pilawcami, Zbarażem, Zborowem, Beresteczkiem, Batochem, kiedy sojusznikami Kozaków byli Tatarzy, oraz omówi genezę poddania się Chmielnickiego Moskwie w 1654 r. i historię wojen Polski z państwem moskiewskim o Ukrainę, zakończonych traktatem w Andruszowie w 1667 r. A tom III skupi się zapewne na ukazaniu dziejów Kozaczyzny po 1667 r., po podziale Ukrainy na Prawo- i Lewobrzeżną, Przed- i Zadnieprzańską, kiedy Kozaczyzna była już tylko pionkiem w politycznej grze Rzeczypospolitej, Moskwy i Turcji. Nie ubiegając przyszłości, należy zauważyć, że dzieło Serczyka „Na dalekiej Ukrainie. Dzieje Kozaczyzny do 1648 roku”, choć doprowadzone tylko do powstania Chmielnickiego, tworzy zamkniętą całość.

Książka Serczyka jest niewątpliwym wydarzeniem w krajowej historiografii paru ostatnich lat. Autor podjął ważny, trudny, a zarazem fascynujący całe pokolenia zarówno polskich, jak ukraińskich i rosyjskich badaczy temat historyczny. W trzynastu rozdziałach przedstawił szeroką gamę zagadnień związanych z przeszłością Ukrainy i Kozaczyzny. Ówczesna Polska i Litwa, złączone unią lubelską w wielki organizm Rzeczypospolitej, ścięły się tu — na ziemiach naddnieprzańskich — z ekspansywnym i wciąż nawiązującym do tradycji Rusi Kijowskiej państwem moskiewskim, z połud-

nia natomiast prawie corocznie ruszały do walki i rabunku ordy tatarskie zachęcane lub też himowane przez Turcję w zależności od aktualnej sytuacji i potrzeb politycznych. Zauważmy, że Ukraina w tej epoce to wyłącznie Kijowszczyzna i Braclawszczyzna, a potem przez jakiś czas i Czernihowszczyzna: Pokucie, Podole, Wołyń, i Ruś Czerwona, mimo iż etnicznie były to ziemie ze zdecydowaną przewagą ludności ruskiej, do Ukrainy nie należały.

Praca ma szereg wad. W pierwszym rzędzie autor omówił ojczyzną Kozaczyzny, a więc Dniepr, porohy, relacje o Naddnieprzu w XIV—XVII wieku, zwierzyńce, dzikie ptactwo, lasy i stępy, klimat, szlaki i trakty, pierwsze wzmianki o Kozakach, dalej — groźnego sąsiada z południa: chanat krymski i ordy — jedyckujską, perekopską, oczakowską oraz budziacką, obyczaje tatarskie, sposób prowadzenia walki przez ordynów i los jeńców tatarskich. Sprawy te zawarł autor w trzech pierwszych rozdziałach, następnie dziesięć poświęcił Kozaczyźnie, a więc jej powstaniu, organizacji, udziałowi Kozaków w walkach nad Bałtykiem przeciw Szwedom, w wyprawach Samozwańców do Moskwy, w kampanii chocimskiej przeciw Porcie Otomańskiej, buntom i powstanom kozackim (Kosińskiego, Nalewajki i Lobody, Zmajły, Fedorowicza, Sulimy, Pawluka, Ostrzanina i Huni), grabieżczym wyprawom kozackim na tereny czarnomorskie Turcji, życiu prywatnemu Zaporozców, ich obyczajom, religii, idealom, wyglądomi zewnętrznym, uzbrojeniu, zabawom, hulankom itp.

Ważnym źródłem utrzymania Kozaków były ich rabunkowe wyprawy czarnomorskie. Jest jednak bardzo charakterystyczne, że nie uważano ich za zwykłych przestępców, i to nie tylko na Ukrainie, ale nawet w państwie tureckim, gdzie rozbójnictwo kozackie traktowano jakby za sposób prowadzenia wojny, za kozacką sztukę wojenną. Jedną z najbardziej istotnych cech Kozaczyzny było jej powiązanie z kresami, z pograniczem. Kozacy to przede wszystkim wojowniczy element pogranicza, rubieży. Nieporozumieniem byłoby porównywanie Zaporozców z różnymi Robin Hoodami, natomiast pewnych analogii do Kozaków możemy doszukiwać się wśród późniejszych amerykańskich pionierów-osadników.

Atrakcyjność i ciężar gatunkowy tematu oraz precyzyjny, jasny, barwny, wartki styl wykładu decydują, iż dzieło Władysława A. Serczyka można zaliczyć do pozycji klasycznych w dziedzinie historii. Książkę czyta się z przyjemnością. Jest dojrzała, głęboka, mądra. Takie prace piszą uczeni o wielkiej erudycji, dużym talencie i znakomitym warsztacie badawczym. Z zainteresowaniem czekamy na tomy dalsze.

Adam Andrzej Witusik

Władysław A. Serczyk: Na dalekiej Ukrainie. Dzieje Kozaczyzny do 1648 roku. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, ss. 373 + 51 ilustracji, nakład 50000 egzemplarzy, cena 450 zł.

Lubelska Wiosna Teatralna

ZAINAUGUROWANA 22 kwietnia przedpremierowym spektaklem „Baala” Bertolta Brechta w reżyserii Piotra Cieślaka i wykonaniu zespołu Teatru Powszechnego w Warszawie, dowiodła, jak wielkie jest zainteresowanie lubelskiej publiczności tym, co „gra się” na czołowych scenach polskich. Nawet wysokie ceny biletów nie były w stanie zniechęcić tłumów przy kasie w dzień sprzedaży, tak i w ostatnich godzinach przed spektaklami.

Nie dziwnego, skoro wspomniany „Baal” zapowiadał udział Zbigniewa Zapasiewicza, który za kreację w tej sztuce otrzymał za najwybitniejszą męską rolę w sezonie 1985/1986 nagrodę im. Aleksandra Zelwrowicza. Ponadto w „Baalu” Brechta wystąpili: J. Jankowska-Cieślak, Janusz Gajos, Aleksander i Piotr Machalowiec, Maciej Goraj, żeby poprzestać tylko na tych nazwiskach znanych aktorów.

25 i 27 kwietnia Teatr Stary im. Heleny Modrzejewskiej z Krakowa zaprezentował „Wiosnę Narodów w Cichym Zakątku” — Adolfa Nowaczyńskiego, w reżyserii Tadeusza Bradeckiego z Anna Polony, Tadeuszem Hukiem, Edwardem Zentarą i pozostałym, nie mniej znakomitym ansambliem aktorskim.

28 i 29 kwietnia we fredrowskim „Pano Jowialskim” w reżyserii również Tadeusza Bradeckiego — zwróćmy uwagę na mały „festiwal” tego reżysera na lubelskiej scenie — do muzyki Jana Kantego Pawlińskiego i scenografii Urszuli Kenar wystąpił łódzki zespół Teatru im. Jaracza z Bogusławem Sochnackim.

Druga Lubelska Wiosna Teatralna (przypomnijmy, iż zainicjowana przez obecnego dyrektora Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie — Andrzeja Rohzina) przyjęła za cel swoich prezentacji zapoznanie publiczności z tym, co na scenach krajowych dobiło się znaku najwyższej próby i kunsztu.

Nie zdziwi więc ponowny szturm na kasy chętnych o bejrzenia Romana Wilhelmiego w roli Edwarda II w dramacie Christophera Marlowe’a, w reżyserii Macieja Prusa, przy akompaniowaniu nie tylko muzyki Andrzeja Kurylewicz, ale i gry aktorów Teatru Nowego z Warszawy, m.in. Stanisławy Celińskiej, Krzysztofa Kołbaszki, Janusza Bukowskiego i znanego z lubelskiej sceny — Pawła Nowisza. Scenografia Marcina Jarnuszkiewicza.

2 i 3 maja Teatr Kwadrat z Warszawy zaprosił lubelską publiczność na „Fifty — Fifty” Stanisława Tyma, w reżyserii Wojciecha Pokory, scenografię Marka Lewandowskiego, z udziałem m.in. Barbary Rylskiej, Magdaleny Woleńko, Jerzego Turka, Mieczysława Czechowicza i innych, nie mniej lubianych i oklaskiwanych aktorów.

2 maja Scena Plastyczna KUL w swojej siedzibie przy Alejach Racławickich pokazała „Pętanie” Leszka Mądreka (scenariusz, scenografia, reżyseria).

4 i 5 maja — spotkanie z naszym dobrym znajomym — Janem Machulskim, który przypomni się w „Pilocie” Davisa, we własnej reżyserii, a w scenografii Tatiany Kwiatkowskiej, z udziałem zespołu aktorskiego Teatru Ochota z Warszawy.

Natomiast Teatr im. Juliusza Osterwy ze swoim „Białym małżeństwem” Tadeusza Różewicza gościć będzie w Domu Kultury Chemika w Puławach w dniach 2-4 maja.

(N)

Zderzenia

Scenariusz dla Teleexpressu

NAZYWA się to Przychodnią Przykliniczną, Poradnią Pediatriczną, Poradnią Staszica 13. Aż się prosi, by dodać: dla Dzieci Wyjątkowo Zdrowych z Niepracującymi Matkami o Słabym Systemie Nerwowym, Gehenna zaczyna się czasem już o 7 rano. Bo o tej porze mniej więcej zjeżdżają tutaj ludzie z terenu, żeby być na początku kolejki. Miejscowi pojawiają się przed ósmą. Od dziewiątej teoretycznie można zarejestrować dziecko przez telefon. Tylko, że w rejestracji jest jeden telefon i podobno jedna pani obsługująca i okienko, i słuchawkę, więc ta ostatnia rzadko jest podnoszona.

Po zakończeniu rejestracji, karty zostają skrupulatnie przetwarzane i odniesione do gabinetu, w którym lekarz powinien być zawsze o co najmniej godzinę wcześniej. Przyjmuje o 11. A tu około 12 pierwsza pacjenta ciągle jeszcze czekają i wzrok im tępieje od wpatrywania się w zamknięte drzwi. W klasnej poczekalni nie ma gdzie usiąść. Matki przez kilka godzin trzymają swoje dzieci na rękach. Jedne

są alergikami, inne po ciężkich operacjach, jeszcze inne z bolesnymi urazami. Atmosfera mrocznego średniowiecza. Na dodatek ktoś bez przerwy wchodzi bez kolejki. Pierwszeństwo mają ci z karetą pogotowia, oraz ci ze służby zdrowia, a także ci ze znajomościami. Reszta to tylko bezbarwny tłum. W końcu się doczekają.

Pewnego dnia byłam świadkiem jak do chirurga przywieziono dziewczynkę z wypadku. Zszywano ją przez godzinę w asyście studentów przebywających w tym czasie na ćwiczeniach. Przez godzinę z gabinetu dochodził na korytarz przeraźliwy krzyk, a pod gabinetem plakały zmęczone dzieci. Było południe. Jedna kobieta około piątej rano wyjechała z Hrubieszowa. Druga przed ósmą była w rejestracji. Obydwie do tej pory nie dostały się do lekarza. A obok jest drugi gabinet, a piętro wyżej pełno chirurgów na szpitalnych oddziałach. Ale po co mają schodzić. Na tabliczce wyraźnie napisano: od tej do tej przyjmuje doktor taki a taki, później inny. Po co wprowadzać numerki i informować ludzi o domniemanej godzinie przyjęcia, jeśli potrzebny jest bałagan dla zakamuflowania... bałaganu.

I cóż chcę, maluczy! Macie do czynienia z panami życia i śmierci. Jak postoić w kolejce, to się tego na pamięć nauczyć.

(f)

Zamiast topoli — dęby

ODŻAŁOWALISMY stosownym „epitafium” strzeliste, włoskie topole rosnące wzdłuż Alei Racławickich, a decyzją Przedsiębiorstwa Zieleni Miejskiej przeznaczone do wycięcia i wykarczowania.

Niechże polecają będzie to, iż zastąpią je równie monumentalne, zaaklimatyzowane na naszym gruncie — dęby piramidalne. Kilka z nich wystrzeliło już okazałe przy tej arterii, na przekór mrozom i słońcu. Dęby piramidalne rosną jednak powoli, ale szumić i dawać cień będą wiekami. Oby! Póki co, pozwólmy im podrosnąć — tym nowo zasadzanym — i dobrze zakorzenić się na miejscu długo wspomnianych topoli.

To były firmy?

BROWAR Parowy W. Kijoka et Company ma honor zawiadomić Szanowną Publiczność, iż z dniem 6 lutego 1878 roku otwartym został skład główny

piwa antałkowego i butelkowego w różnych gatunkach i po różnej cenie, Filia róg Lubartowskiej i Kowalskiej... Czytajmy dalej: „F. Mathewes przy ul. Sw. Ducha — towary kolonialne, herbata, miód, mydło świece, krochmal, wyroby szczerkarskie i powroźnicze, tytoń, cygara...” (dziś powiedzielibyśmy: szwarc, mydło i powidło, ale daj nam Boże taki wybór). Oto skład herbaty firmy Piotra Orłowa w Moskwie, dostawcy Dworu Jego Cesarskiej Mości i gatunki herbat, nigdy potem w naszym handlu uspołecznionym nie widziane. A może — „Drukarnia »Pośpieszna«” zainteresuje PT publiczność? oraz pracownia stempli kauczukowych Stanisława Dżala (może to dziadek jednej z naszych lubelskich miss-ek?) przy ulicy Kollataja 3 obok Kasy Przemysłowców? Coś dla poszukujących dobrego obuwia: „Eleganckie i trwałe oouwie polecają Zakłady Rzemieślniczo-Wychowawcze p.w. św. Józefa w Lublinie, Krakowskie Przedmieście 44”. A teraz coś dla posiadaczy samochodów skorodowanych przez „zasoloną” zimę: „Zakład kołodziej-ski i wytwórnia nadwozi samochodowych Józefa Rakowskiego, Czwartek 9, poleca: wszelkie karoserie do samochodów osobowych, ciężarowych i autobusów. Także i drewniane”. Dla mniej wymagających: „Ostatnia Posługa — chesed szel Emes, Lubartowska 28”; tudzież pierwszy chrześcijański Zakład Szklarski Michała Pilotowicza przy Bernardyńskiej 13...

To były firmy, to były lata i zieleń światła dla handlu, usług i rzemiosła.

Souvenir from Lublin?

NIESTETY, nie uświadczymy takowego ani krajowy, ani zagraniczny turysta odwiedzający nasz gród. Konkurs i giełda na projekt pamiątek lubelskich, zainicjowane przez komisję kultury Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie, spotkały się z zupełnym — jeśli nie liczyć udziału jednego z nieprofesjonalnych lubelskich artystów — desinterement innych mistrzów sztuk plastycznych.

I niestety, nadal po domach naszych gości „straszyc” będą gipsowe miniaturki pomnika Unii — w niczym zresztą nie uwielając historycznemu faktowi — olejne landszafty ze skansenu i tym podobne dzieła. Do wyboru pozostanie jedynie „uniwersalna bublenca”, oferowana w każdym pamiątkarskim kiosku w kraju.

Honor regionu ratować będą jednak — czy się to komuś podoba, czy nie — kazimierskie koguty z glasty, no i przez przypadek chyba pomyslane jako „lubelskie”, słomiane kozły made in Cepelia. Zachodzi też obawa, że 670-tylecnie nadania praw miejskich Lublinowi nie zostanie uświadcznione na lubelskich souvenirach 600 prostu zabraknie już czasu na ich produkcję, o pardon — na myśl twórcy, czyli projekt. (dey)

Ekran i widz

BUNT robotów przeciwko dominacji ich stwórcy — człowieka — to jeden z bardziej ulubionych tematów autorów zajmujących się literaturą science fiction; nie mniej chętnie biorą ten problem na warsztat reżyserzy filmowi. Stanley Kubrick w swej „Odysei kosmicznej” wprowadził wątek dramatycznej walki samotnego kosmonauty z wielkim komputerem międzyplanetarnego statku zdążającego do odległej galaktyki. Oto geniusz ludzki doprowadził do skonstruowania tak wspaniałej „maszyny myślicznej”, że ta,

nicznego mordercy” sprowadza się do licznych scen piekielnej strzelaniny samochodowych pościgów ulicami wielkiego amerykańskiego miasta oraz karkołomnych popisów kaskaderskich i więcej tutaj liczą się umiejętności kaskaderskie niż aktorskie. A dramatyzm sytuacji bardziej wygrywa się efektami protechnicznymi niż tymi, które zalecał Stanisławski.

Nie jest przy tym wszystkim „Elektroniczny morderca” zwykłym, typowym filmem sensacyjno-policyjnym, pełnym ucieczek i pogoni. W głównym założeniu został on pomyślany jako

Strzeż się cyborga!

umiejętnie pokonawszy system wmontowanych w nią zabezpieczeń, wyrwała się spod kontroli człowieka i pragnie teraz uczynić go... swoim własnym poddany! Świetny film Kubricka wykraczał, nawiasem mówiąc, daleko poza przeciętne ramy swojego gatunku, będąc w istocie głęboką przypowieścią filozoficzną na temat względności osiągnięć ludzkich wobec wielkości i tajemniczości Kosmosu.

Wyświetlany właśnie na ekranach „Elektroniczny morderca” amerykańskiego reżysera Jamesa Camerona nie zakłada sobie aż tak wysokich celów jak „Odyseja kosmiczna”. Jest on po prostu „zwycałym” obrazem z gatunku science fiction, stawiającym przede wszystkim na sensacyjność. Ale za to: jak zrobionym! I jeżeli chciałoby się go w sposób najkrótszy scharakteryzować, to najwłaściwszym wydaje się określenie: film perfekcyjny. Zarówno bowiem scenariusz, jak i reżyseria, scenografia, efekty specjalne, zdjęcia są tu pomyślane i zrealizowane w sposób doskonały.

Celowo nie wymieniałem aktorstwa, bowiem w podobnym typie jak „Elektroniczny morderca” filmach aktor jest tylko jednym z szeregu elementów widowiska ekranowego, pewnym określonym „znakiem” w błyskawicznie toczącym się łańcuchu sensacyjnych wydarzeń. Nie ma tu czasu na „wewnętrzna analizę postaci”, na finiszową grę, odpowiednie stosowanie w grze „półtonów” czy „ćwierćtonów”. Aktor rysuje odtwarzanego przez siebie bohatera grubą, zdecydowaną, typową dla danego filmowego charakteru, krechą — niczym rysownik popularnego gazetowego komiksu. Dlatego w „Elektronicznym mordercy” nie przeszkadza nam, na przykład, zupełnie brak profesjonalnych aktorskich umiejętności u odtwórcy tytułowej postaci, Arnolda Schwarzeneggera (znanego skądinąd, austriackiego kulturysty), ponieważ ma on przede wszystkim upiornie wyglądać na ekranie (ale to już zasługa scenografa i charakterystyka) oraz dużo i efektywnie strzelać z różnego rodzaju broni.

W istocie bowiem akcja „Elektro-

film z gatunku science fiction, z elementami horroru. Choć rzecz się dzieje niły współcześnie, w 1984 r., na ulicach Los Angeles, to w istocie dla dwóch głównych bohaterów filmu: elektronicznego mordercy (czekokształtnego robota-cyborga Terminatora) oraz walczącego z nim żywego człowieka Kyle Reese'a jest to świat o czterdzieści lat wcześniejszy, w który cofnęli się obaj z ich własnej epoki roku 2024. Jeden — dla zrealizowania, powierzonego mu przez zbudowane roboty, morderstwa, a drugi — dla zapobieżenia temu morderstwu. Albowiem w czterdzieści lat po roku 1984 ma już być po światowej wojnie nuklearnej, którą wywołały urządzenia elektroniczne zawiadujące systemami naszych współczesnych wyrzutni rakietowych. Większość ludzi zginęła, a resztkami rodzaju ludzkiego, pozostałym przy życiu, starają się rzucić zbudowane, coraz bardziej udoskonalające się, roboty. A właściwie już — cyborgi (cybernetyczne organizmy). Alści ludzie się nie poddają, spośród tłumów wylania się wybitny przywódca powstania. Owego człowieka liczy sobie lat równo czterdzieści. Roboty wysyłają więc „w przeszłość” jednego ze swoich, aby... nie dopuścił do poczęcia się owego człowieka. Za robotem-cyborgiem podąża, jak już wspominałem, wystanik powstańców, mający być obrońcą pewnej młodej, przystojnej amerykańskiej dziewczyny, która...

Reszcie należy już sobie obejrzeć na ekranie.

Recenzentowi natomiast wypada w tym miejscu jedynie stwierdzić, że po trzech miesiącach filmowej posuchy, w czasie której mógł tylko albo ronić rzewne łzy nad miłosno-patriotycznymi perypetiami bohaterów „Nad Niemnem”, lub zrywać się na ponuro świszające na ekranach złote pociągi, obejrzał wreszcie film nie wysoki, ale za to taki, na którym się ani przez moment nie nudził. A że to wszystko wierutna bzdura? Ba, ale jak opowiedziana.

M. D.

Powrót Chrisa

GWIAZDY i gwiazdki estrady błyszczą światłem tak migotliwym, że nigdy nie można być pewnym, czy któraś z nich nie zgaśnie niespodziewanie. Estrada nie znosi próżni, więc na ich miejsce pojawiają się niemal natychmiast nowe, godne podziwu i sporych pieniędzy. Brytyjska grupa Smokie cieszyła się w latach siedemdziesiątych nieprawdopodobnym powodzeniem. Chwalono ją i hołubiono także u nas, dowodem czego sensacyjne koncerty w Warszawie single wydawane przez Tonpress. Konjunkturę popularności nakreślały wśród nastoletnich fanów przeboje: „Needle and Pins”, „Living Next Door to Alice”, „Mexican Girl” i „Och, Carol” śpiewane zmysłowym, nieco zachrypniętym głosem gitarzysty Chrisa Normana. Międzynarodowa sława Smokie nie trwała wiecznie. U progu osmej dekady grupa zniknęła z rynku muzycznego, wyrugowana przez prących do przodu przedstawicieli punk rocka i „new wave”. Zaczęła się po prostu nowa epoka, mało korzystna dla dotychczasowych staw pop-music Smokie było ze swą muzyką anachroniczne.

Zdawało mi się, że o Chrisie Normanie nigdy więcej nie usłyszymy. W show businessie wszystko jednak jest możliwe. Oto w połowie ub. roku pojawił się na rynku nowy, mocno reklamowany, longplay byłego szefa Smokie, zatytułowany „Some Hearts Are Diamonds” („Niektóre serca są brylantami”). Wydawnictwo spotkało się o dziwo ze znacznym zainteresowaniem fanów a to dzięki Dieterowi Bohlenowi. To wcale nie żart. Filar szalenie modnego duetu Modern Talking, znany także jako obrotny producent i kompozytor, wspomaga swymi słodkimi melodiami i innych wykonawców. Wszak to jemu zawdzięcza powodzenie gwiazda disco — C.C. Catch.

Nie wiem, w jaki sposób Chris zetknął się z Didim. Faktem natomiast jest że wspólnie przygotowali materiał do nowego albumu i doprowadzili do jego realizacji. Próba przemawiania lodów i przypominania głosu Chrisa rozpoczęli od RFN i Austrii. W tamtejszej telewizji pojawił się najpierw video-clip „Midnight Lady”. Zainteresowanie dyskotekowo nastawionych nastolatków było znaczne, więc specje od reklamy firmy Hansa wprowadzali do obiegu następne propozycje spółki Bohlen-Norman: „Chain Reaction”, „It's A Tragedy”, „Some Hearts Are Diamonds”.

W ciągu kilku miesięcy zapomniany Chris stał się znowu cenionym wokalistą z pierwszych miejsc list przebojów. Jego dawna firma z Wysp Brytyjskich skłonna była nawet zainvestować w reaktywowanie grupy Smokie. Jesienią 1986 roku doszło do ożywienia kwartetu. Szczęście Petera Spencera, Terry'ego Uttleya i Alana



Repr. Adam Trochimiuk

Silsona nie trwało jednak zbyt długo. Po wspólnym, ponoc gorąco przyjętym koncercie we Frakfurcie Chris zdecydował się opuścić definitywnie kolegów. Zamiast wspomagać odradzającą się powoli firmę wybrał samodzielnie drogę, wskazaną uprzednio przez Bohlena. Wierzy bowiem gorąco, że uda mu się w pojedynkę co nieco zwojować.

Jaki jest Chris Norman na solowej płycie? Jego obecne nagrania różnią się co prawda od przebojów z lat siedemdziesiątych. Więcej w nich elektronicznych kolorystycznych ozdóbek i zniewalającego rytmu à la Modern Talking. Głos solisty pozostał jednak ten sam i ci, którzy cenili go w piosenkach Smokie, mogą znowu czuć się uszczęśliwieni. Norman stara się dodać życia przeszłodzonym, schematycznym nieco kompozycjom Bohlena, uczynić je plastycznymi, wciągającymi słuchacza. Efekt tych zabiegów nie zawsze bywa udany, niemniej płyty „Niektóre serca są brylantami” słuchają się całkiem przyjemnie. Znakomicie nadaje się ona do tańca i chyba jest jej główną zaletą. Chris ma tego świadomość i nie zamierza zrywać kontaktu z filarem MT. Wywiady prasowe, jakich chętnie obad udziela, sugerują, że spółka autorska Bohlen-Norman okaże się dla nich czymś więcej niż tylko jednorazową przygodą. Myślę, że następną odsłona nastąpi w najbliższych miesiącach.

Ulubieniec nastolatków — Chris Norman — nie jest już beztrudnym młodzieńcem. Ma 37 lat, wierną żonę Lindę i trzech synów: Paula, Briana i Stephena. W kręgu znajomych uchodzi za rodzinnego typa i nie interesują go przelotne flirty ani pełne uwielbienia listy uroczych wielbicieli. Śpiewanie któremu poświęcił się w 1967 roku, traktuje wciąż jako skuteczne hobby. Inna rzecz, że to hobby zapewnia mu utrzymanie na odpowiednim poziomie i pozwala na atrakcyjne podróże po świecie. Komu się one nie marzą?

Istvan Grabowski

KRONIKA KULTURALNA

● 17 kwietnia br. „zagrał” w Lublinie światowej sławy muzyk znakomity wychowanek Nowego Orleanu, trębacz Joe Newman. Artyście towarzyszył kwartet Janusza Muniaka (saksofon): Czesław Bartkowski — perkusja, Wojciech Puszek — fortepian i Andrzej Cudziak — kontrabas.

● Do 30 kwietnia br. w Wojewódzkim Domu Kultury, w ramach II Przeglądu Wojewódzkiego Artystycznej Twórczości Wsi, czynna była pokonkursowa wystawa, na której zaprezentowano wyroby rzemiosł ludowych — plecionkarstwa, kowalstwa, garncarstwa. Pokazano również sztukę zdobniczą i obrzędową, malarstwo i rzeźbę.

● W ramach przeglądu twórczości amatorskiej „Miejska Scena Amatora” na deskach Lubelskiego Domu Kultury wystąpił m. in.: „Teatr Wyobraźni” SP Niewido-

mych z „Szachami” Kocjanowskiego, teatr Międzyspółdzielni Kłuba Inwalidów z poezją „Niepokojące noce”, Młodzieżowy Teatr Inicjatyw z „Pętlą” M. Haski, teatr Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych „Drabina” z przedstawieniem „Światło ciemniejszego lustra” grupa „Pantomimy” DK FSC z fragmentem „Fausta”.

● KMPiK „Masza” w ramach przeglądu kultury radzieckiej zorganizował trwający od połowy do końca kwietnia br. cykl imprez, w ramach którego można było m. in. obejrzeć wystawę sztuki ukraińskiej, przegląd filmów lat osiemdziesiątych, spektakl zatytułowany „Włodzimierz Wysocki” w wykonaniu aktorów Teatru im. Osterwy Macieja Polaskiego i posłuchać pieśni i romanсів rosyjskich w wykonaniu aktorów Teatru Muzycznego.

● W hali sportowej przy al. Zygmunto-wskich Wojewódzki Dom Kultury i Klub Tańca Towarzystwa „Zamek” zorganizowały 26 kwietnia br. — V Mistrzostwa Lublina w Tańcu Towarzystwa. Konkurs rozegrano w dwu klasach: „B” oraz „A1”. Obok par ze znanych w Polsce ośrodków tanecznych zgłosili swój udział przedstawiciele Czechosłowacji i Węgier.

● W dniach 21–23 kwietnia br. przebywał na Zamocisku zespół folklorystyczny „Rapsodia” Włoszylowogrodzkiego Zjednoczenia Przemysłowców oraz trio bandu-rzystek z Filharmonii Lwowskiej. Ukraińskie zespoły wystąpiły w Hrubieszowie, Tomaszowie i Zamościu.

● Pałac Małachowskich w Naleczowie w dniach 24–25 kwietnia br. gościł liczne grono miłośników Bolesława Prusa, które w 75 rocznicę śmierci pisarza przybyło na sesję naukową poświęconą jego twórczości. W naleczowskim kinie wyświetlano filmowe adaptacje dzieł B. Prusa.

● W dniach 24–25 kwietnia br. Wydział Kultury i Sztuki UW w Lublinie oraz Zarząd Główny Stowarzyszenia Twórców Ludowych zorganizowały Ogólnopolskie Spotkania Poetyckie (Krajowy Dom Twórczości Ludowej) — Lublin ul. Grodzka 14). Do konkursu zaproszono poetów i pisarzy ludowych autorów-profesjonalistów oraz krytyków. W programie przewidziano dyskusję „Sam o sobie” wieczór gawęd, występ zespołów folklorystycznych. W placówkach kultury województwa odbyły się spotkania autorskie twórców ludowych.

● Wiele ciekawych inicjatyw kulturalnych podejmuje się i kontynuuje w województwie zamojskim. Wojewódzki Dom Kultury wspólnie z Kuratorium Oświaty i

Wychowania zaproponowały lekkie teatralne dla młodzieży szkół średnich Hrubieszowa i Zamościa. Od 1 do 6 maja br. w ich ramach młodzież zostanie zapoznana z ich ramach teatr autyczny i romantyczny. Dziełami teatru autycznego i romantycznego DKF „Morando” przy Klubie Młodej Inteligencji od 13 do 17 maja br. organizuje nowa impreza „Animafilm”. W jej ramach odbędzie się festiwal filmów animowanych zrealizowanych w latach 1984–86.

W IV Wojewódzkich Konfrontacjach Dziecięcych Zespołów Tańca Ludowego wzięło udział 12 zespołów i miejsce zdobył „Krysowiacy” z Ułhówka. Natomiast w V Zamojskich Konfrontacjach Tanecznych wzięło udział 49 par z 23 klubów. Indywidualnie w klasie „D” bezkonkurencyjnie byli: Aleksandra Zapala i Andrzej Mieluła z Klubu Tańca Towarzystwa „Contra” przy WDK w Zamościu. Również w kolejnej edycji Turnieju Recytatorskiego im. Bolesława Leśmiana wzięło udział kilkadziesiąt zespołów dziewcząt i chłopców. 25–28 kwietnia br. odbył się finał tej ciekawej poetyckiej imprezy.

● Z przyjemnością zapowiadamy występ Agnieszki Fatygi, która wyw. ani w Lublinie 11 maja br. (kła NOT, godz. 18).

(kop)

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniowski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kociński (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Józef Derecki, Władysław Horabik, Tadeusz Jasicki (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kaminski (komentator). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych zastrzeżenie sobie prawo skróto-w. Druk Lubelskie Zakłady Graficzne „m KWN w Lublinie ul. Unicka 4. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6, tel. 258-30. Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 21. Telefon: sekretariat, redaktor naczelny z-ca redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-33. Korespondencje zwykłe urodmy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Humoreski Wojciecha Chocianowicza

Bajka o szewczyku i siedmiogłowym smoku

BYL sobie siedmiogłowy smok, który policyjkał na śniadanie co najmniej sto dziewcz. ział ogniem pił alkohol uchylał się od pracy, ograbił kupców, urządził trzęsienia ziemi, zbroił się, nie utrzymywał kontaktów dyplomatycznych z Polską, Boga się nie bał, nie szanował matki swojej i dziesięciu przykazań, gwałcił krowy i diabli wiedzą, co on tam jeszcze robił. Był też sobie biedny szewczyk, który nie kłął, nie krał, łapówek nie brał, wszystkie powierzone mu buty naprawiał solidnie i w terminie, nie pił nawet piwa, psów nie kopał, do kościoła chodził, popierał wszelkie porozumienia, i w ogóle był dobrotliwy niczym sam pan Jezus.

Za siedmioma górami, za siedmioma morzami tył rycerze króla jego mości, którzy wprawdzie pili wódkę, grali na pieniądze w sześćdziesiąt sześć i gwałcili wiejskie dziewczki, smoków się jednak nie bał, i jakby chciał, to i tego bez kłopotów by zgładził, jednakowoż nie chciało im się taki kawał, tzn. przez te siedem gór i mórz techać, tym bardziej że strasznie trudno było wywalczyć delegację w królewskim urzędzie, a zresztą diety były niskie.

Zatelefonowali więc rycerze do szewczyka, że gdzieś niedaleko jego miejsca zamieszkania grasuje smok, i jakby go przypadkiem zobaczył, to niech się z nim rozprawi, a w nagrodę dostanie bon na stodołę i dyplom. Zdjął więc szewczyk ze ściany miecz pradziadka, którym ten zwykł był się gościć, za pazuchę zatknął kromkę chleba i manierkę z wodą, po czym poszedł szukać smoka. Znalazł go zresztą bardzo szybko, bo pił on właśnie wodę ze studni przed chatką szewczyka.

— Stawaj do walki! — krzyknął szewczyk i smok ochocko stanął do walki. A szewczyk jak zaczynał machać mieczem, to co machnął, to jedna głowa spada. Obelał tak szewczyk ze

trzydzieści parę głów, kiedy nagle przypomniał sobie, że smok miał tylko siedem tych głów, schował więc miecz do pochwy, otarł pot z czoła i wszedł do chatki zadowolony, że aż o tyle procent przekroczył plan.

Wieczorem wyszedł szewczyk z chatki, żeby napić kury, patrzy i oczom nie wierzy. Na podwórzu stoi siedemdziesięciogłowy smok. Zrozumiał szewczyk, że zrobiono go na szaro, poczerwieniał więc z gniewu i wrócił czym prędzej do chatki po miecz. Zamachnął się i nuże obcinał te siedemdziesiąt głów.

Złutował się wreszcie smok nad szewczykiem i powiada:

— Stary, nie szalej tak, bo mi na miejsce każdej obciętej głowy wyrastają dwie! — Szewczyk jednak szalał już tak strasznie, że nie słuchał żadnych rozsądnych rad, tylko machał tym mieczem i machał. Po jakichś dwóch godzinach coś niedobrego zaczęło się dziać ze smokiem. Pogłowił się smok w czym rzecz, a niełatwo mu to przyszło, bo ledwie na nogach się trzymał i rzygać mu się chciało, w końcu jednak połapał się, o co chodzi.

Przestraszył się smok i powiada: — Przestań lepiej, szewczyku, bo ja rzeczywiście zaraz zdechnę. Serce mi wysiada, płuca mi wysiadają, wątroba mi wysiada i dyski wypadają. Nie mam tyle krwi, żeby odżywić tyle głów, płuca mam trochę za mało pojemne, i w ogóle, jak ja wyglądam... I rzeczywiście. Kilka tysięcy głów wyrastało ze smoka i ścieleło się w obejściu szewczyka niczym hałda orzeszków ziemnych. Ambitny szewczyk jednak nie ustawał, tylko machał, machał i machał.

W końcu smok zdechl, szewczyka odwieziono ambulansem do Tworek, a w całym kraju zapanowała taka radość, że 73,29 procent obywateli pękło ze śmiechu, a reszta zatrula się, bowiem gnijące truchło smoka aż tak bardzo zanieczyściło środowisko.



Rys. Jacek Urbański

Opowiadki z morałem

Słoń i mrówka idą przez most. Most się trzęsie.

— Słyszysz, słoniu, jak tupiemy? — pyta mrówka.

Nagle most zalamuje się.

— I widzisz, co zrobiłaś? — pyta z wyrzutem słoń.

Morał: Nie przypisuj sobie cudzych zasług, bo mogą cię za nie pociągnąć do odpowiedzialności.

Dwaj podróżnicy idą przez brazylijską dżunglę. Patrzą, a tu pośrodku ścieżki, blisko mrowiska, widać głowę zakopanego człowieka.

— Odkopcie mnie — błaga głowa.

Jeden z podróżników zrobił zamach nogą i odkopał głowę pod najbliższe drzewo.

Morał: Najważniejsze to dogadać się jak Polak z Polakiem.

— Poproszę pół kilo polędwicy.
— Czego?

— Polędwicy.
— A co to takiego?
— To pani nie wie? Pół kilo poproszę.
— Niech pan się ode mnie odczepi, bo zadzwonię po milicję.

Morał: Klient nie zawsze ma rację.

Chłopak i dziewczyna idą po ulicy.
— Ja to jestem głupia, co? — powiada nagle dziewczyna.
— Ależ skąd — wzrusza ramionami chłopak.

Po chwili:
— Takiej głupiej dziewczyny to jeszcze na pewno nie miałeś? — zaczyna znów dziewczyna.

— Przestań, o co ci chodzi? — dziwi się chłopak.

Za moment dziewczyna znów mówi:
— Ale ty na pewno sobie myślisz, że jestem strasznie głupia...

Chłopak zatrzymuje się zdenerwowany.

— No, dobrze, jesteś głupia!
Morał: Dobra propaganda czyni cuda.

Krzyżówka nr 6 z szyfrem

Poziomo: A. ingrediencja, element niski stan, pierwotność; B. ruina, kupa gruzu; C. naczynie kuchenne; D. kieruje za szefa; E. krakowska dzielnica; F. rodzaj czerwienu; G. laboratoryjny rozkład; H. brzydki zapach; I. kolor w kartach; J. godło; K. smaczny grzyb; L. na niej kolo w rowerze; M. tani Czechowiec lub Michnikowski; N. opera Verdiego; O. kwiatostan groniasty; P. ziemne umocnienie polowe; Q. sztuczny wodospad; R. kierownictwo portu; S. karanie; T. zamurowana żywcem za pochowanie brata; U. zapis skróconym pismem; V. leśny krewniak; W. stan w USA.

Pionowo: 1. ciemnobrunatny barwnik; 2. przebiegłość; 3. ciężka broń sieczna; 4. republika radziecka; 5. jednostka oporu elektrycznego; 6. czerwony kamień szlachetny; 7. okrycie staropolskie; 8. październikowa solenizantka; 9. jezioro pod Hawą; 10. legendarny władca nadwiślańskiego grodu; 11. uroczysty wiersz; 12. tu wpłaty i wypłaty; 13. ojciec, matka i dzieci; 14. monstrum; 15. przymierze; 16. człowiek bardzo ubogi; 17. dopływ Kasai płynący przez Angolę; 18. krzewy buszu; 19. sztuczna postawa; 20. element szkieletu ryby; 21. zapora; 22. wielkie jezioro w Afryce; 23. dostarczycielka barwnika z hasła 1; 24. uczta żałobna; 25. uzdrowisko w Kotlinie Kłodzkiej; 26. ciemny lub spod ciemnej gwiazdy; 27. ogłoszenie; 28. najwyższa władza wielu organizacji; 29. uznawanie za prawdę; 30. przejście na wyższe stanowisko.

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23



SZYFR

A1, D15, E7, M2, B15, C8 / A16, B11, M6, L8, C3, C23, K7, G2 / A5, B16, A11, C7, K5, L14, G15, /

/ A23, K18, K2, F9, L1 / A8, A20, B5, D13, K19 / J10, D10, C16, K22, E17, L11, I14, I6 / B14, A21, A4, C21, H9, J15 / M23, B23, C20 / E22 / B10, F2, A3, E9, G16, C22, H6, B19 / C5, B9, G4 / E18, J11, C4, I4, E13, D11, D5, H15, H2, H4, F20//